POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 16-go listopada 1940r.* Rok II. Nr. 36

PADEREWSKI W AMERYCE

Przez kilka tygodni śledziliśmy, ilu nas jest pod wolnym niebem, ilu nas korzysta z łaski nieskrępowanego patrzenia na świat,—drogę I. J. Paderewskiego z Szwajcarii do Stanów Zjednoczonych. Za Wielkim Starcem, który opuścił dom w Riond Bosson, budowany przez lata, wypełniony całą treścią życia, wspomnieniami wielkiej pracy i odpoczynku, światowych triumfów i gorzkich zawodów —szła nasza myśl zatrwożona i wzruszona. Musiało trwożyć wyobrażenie o trudzie, jaki podjął pod koniec ósmego dziesiątka lat życia, o niebezpieczeństwach, jakimi jest najeżona podróż przez kraje, objęte tajną kontrolą wroga, przez morza objęte otwartą, bezwzględną wojną. Wzruszała świadomość, że nie zamknął swego życia, że wiekiem i znużeniem nie wymówił się, do czego miał prawo, od dalszej służby Sprawie Polskiej.

W tych dniach przyszła wiadomość, że okręt amerykański, wiozący Paderewskiego, szczęśliwie zawinął do New Yorku, że prasa Stanów wita w nim duchowego reprezentanta naszego kraju. I dla nas żołnierzy radosna jest ta wiadomość, że wyszedł poza krąg niebezpieczeństwa człowiek, będący jednym z żywych, najwyższych i najczystszych symbolów polskości, o którą walczymy.

Z obecnością Paderewskiego w Ameryce łączymy jeszcze inne nadzieje. Wierzymy, że wokół Niego skupi się kilkumilionowa Polonia amerykańska teraz, jak skupiła się w czasie poprzedniej wojny o wolność Polski i wolność świata. Wierzymy, że Polacy w Stanach, złożywszy dowód rozumu politycznego w wyborach prezydenckich, przyczyniwszy się do tego, że wypadły one po myśli naszych interesów w tej drugiej wojnie o wolność Polski i wolność świata—wsłuchają się w głos Paderewskiego, posłuchają jego wezwań.

Ta nowa misja niemianowanego Ambasadora Rzeczypospolitej, jakimi byli poeci epoki polistopadowej, Wielkiego Polaka i Wielkiego Artysty, człowieka czystego i niezachwianego przez długie, wspaniałe, ofiarne życie w oddaniu sprawie, wypisanej na naszych sztandarach żołnierskich, w naszych żołnierskich sercach, oraz 80-a rocznica urodzin, przypadająca na dzień 6-go listopada—skłania nas do ogłoszenia niniejszego artykułu o Paderewskim. Jest on przedrukiem z "Gońca obozowego"—z pisma wydawanego przez żołnierzy Armii Polskiej we Francji, internowanych w Szwajcarii ("Wielki przedstawiciel Polski" w numerze 2 z dnia 8 września b.r.)

W ten sposób chcemy nie tylko dać wyraz uczuciom, jakie łączą nas żołnierzy z osobą, działalnością i pozycją Paderewskiego w świecie polskim, ale zaznaczyć nieprzerwaną łączność, tożsamość myśli, nadziei i woli—z kolegami internowanymi na ziemi wolnej, przyjaznej i szlachetnej, która Paderewskiemu, jak i wielu Polakom w przeszłości udzielała gościny, nie szczędziła chleba i serca.

Myślimy o Was to samo, co powiedział Ignacy Paderewski: "W Szwajcarii internowano polską dywizję, zmuszoną losami wojny do przekroczenia granicy—nikt, mówiąc o Was, nie użyje słowa "rozbitki" czy "uciekinierzy"—wszyscy mówią o wojsku. Po tym wojsku tak dzielnym i świetnym obcy sądzą o Polsce. Wzbudziliście dla niej szacunek i uznanie. Za wszelką cenę należy to umocnić i utwierdzić."

Tymon Terlecki

Nazwisko ma tę wartość, jaką mu nada ten, co je nosi, znaczenie człowieka, jego stanowisko w społeczeństwie, w narodzie, suma jego pracy, wysiłków, zdobyczy i zasług, wszystko to staje się treścią nazwiska. Stąd też są nazwiska, które jak liczmany, jak blaszki z numerem oznaczają jednostkę, nie osobistość. Inne brzęczą jak liche miedziaki, inne jeszcze mają blask i podźwięk dukatowego złota.

Są wreszcie nazwiska opromienione taką aureolą sławy i wielkości, tak świetne i wspaniałe,że reprezentują cały świat pojęć i wyobrażeń, wyrażają całe epoki, są odpowiednikiem całych narodów.

Do takich promiennych należy nazwisko Ignacego Jana Paderewskiego. Jak soczewka promienie światła, skupia ono w sobie historię, stanowisko, znaczenie i kulturę całej Polski ostatniej doby. Stało się ono hasłem, symbolem, programem. Jak bardzo niewiele innych dostojne i czcigodne ma ono dziwny czar i sławne jest na cały świat, a otaczane szacunkiem i podziwem powszechnym.

Sądzimy jednak, że zbytecznym byłoby powtarzać tutaj życiorys jego, znamy bowiem koleje tego bujnego, nadzwyczaj bogatego ogromnych triumfów i zasług pełnego żywota. Właściwsze będzie zastanowić się dzisiaj dlaczego Paderewski stał się w oczach świata najwybitniejszym przedstawicielem polskości i polszczyzny.

Polska jest krajem katolickim i jako taka znana jest na szerokim świecie. Nie byłby Paderewski jej tak wielkim przedstawicielem, gdyby nie przyznawał się otwarcie i szczerze do tej wiary. Jego przywiazanie do katolicyzmu, głęboka cześć dla kościoła, jego władz, urzadzeń, tradycji, jest wybitną cecha charakteru naszego wielkiego Rodaka.

Inną, bardzo wybitna i bardzo polską cecha Paderewskiego jest jego płomienna miłość ojczyzny. Boć "Polak stąd między narodami słynny, że bardziej niźli życie kocha kraj rodzinny." Patriotyzm Paderewskiego jest nieodłączny od całej jego działalności na wszystkich polach. Paderewski mógłby powtórzyć to, co inny wielki przedstawiciel Polski powiedział o sobie: "Gdybyście serce wyjęli i przekroili, znaleźlibyście w nim to jedno słowo: "Polska." Toteż patriotyzm Paderewskiego sławny jest równie jak jego geniusz muzyczny.

Także muzykalność Paderewskiego jest polskim przymiotem; polskiej ja zreszta zawdziecza ziemi, polskiej krwi. A choć na ogół jesteśmy narodem dość muzykalnym, oczywista jest rzecza, że zdolności muzyczne Paderewskiego sa zupełnie wyjatkowej natury. Ale jeśli Paderewski doprowadził je do tak wspaniałego rozkwitu, to stało się to dzięki jego żelaznej energii, wytężonej pracy i tej wytrwałości, która jest już może mniej ogólno-polska cechą.

Tym bardziej polską jest uczuciowość Paderewskiego. Zabarwione jest nia każde jego słowo, każdy czyn, każde dzieło. Gorace serce, płomienność i głębokość sentymentu sa główną tajemnicą tego wrażenia, jakie sprawia Paderewski-wirtuoz, jego bezprzykładne powodzenie na estradach koncertowych obu półkul.

Uczuciowość jest też jedną z najwybitniejszych cech twórczości muzycznej Paderewskiego, w czym przebija się prawdziwy, szczery, cały Polak. Jeżeli słusznie uznano uczucie za najbardziej charakterystyczne znamię naszej literatury, podobnie należy liryzm uważać za najsilniejszy składnik muzyki polskiej.

Zdaje się, że możemy zaliczyć do przymiotów polskiej duszy szlachetność i rycerskość, skoro zasłużyliśmy na tak czesto spotykane określenie: "*la noble nation polonaise.*" Te przymioty występuja oczywiście najsilniej w najlepszych z nas. Szlachetny sposób myślenia, szlachetne odnoszenie się do ludzi, brak zawiści, nienawiści, zawziętości wzgledem nieprzyjaciół, lojalność względem przeciwników — te przymioty uderzaja w całym postępowaniu Paderewskiego, w całej jego działalności politycznej, w całej nawet jego postaci, od której bije pewna majestatyczna powaga, siła i wielkość.

Zatem jako usposobienie, temperament, charakter, organizacja psychiczna—Paderewski jest uosobieniem polskiego ducha, pełnym przedstawicielem Polski.

Ale jest on nim również przez to, co zdziałał i działa.

Paderewski-muzyk rozsławił jak bardzo niewielu, imię polskie na cały świat. Nie ma zakatka na ziemi , gdzie by sława jego nie była dotarła, gdzie by go przynajmniej z nazwiska nie znano. A ci, którzy o Polsce tyle tylko wiedzą, że jest to jakiś kraj gdzieś w Europie, wiedzą jednak o tym, że z kraju tego pochodza Chopin i Paderewski. W świecie zaś muzycznym Paderewski uznany jest za artystę o zdecydowanie narodowym charakterze. Genialnego pianistę cechują przede wszystkim ognisty temperament, bujna fantazja i uczuciowość — wszystko właściwości wybitnie polskie, które pietno swoje wyciskaja na każdym wykonanym przez Mistrza utworze.

To samo można powiedzieć o Paderewskim jako kompozytorze. Szeroki, rozlewny liryzm, bardzo śpiewna, rdzenna polska melodyjność, rozmach, bogata rytmika, korzystanie z wzorów muzyki ludowej zwłaszcza z okolic Krakowa (krakowiaki Paderewskiego należą do najpiękniejszych w literaturze muzycznej) i Tatr ("Album Tatrzański," opera "Manru"), ścisłe zespolenie muzyki ze słowami w pieśniach do tekstów najznakomitszych poetów polskich, podłoże ideowe takich kompozycyj, jak symfonia h-mol, wspaniała epopea narodowa, — oto przykładowo kilka tytułów do tego, aby Paderewskiego nazwać jednym z największych kompozytorów polskich, a równocześnie jednym z najbardziej polskich wśród kompozytorów. Za takiego go też uważa świat muzyczny.

Ale nie tylko jako muzyk Paderewski jest niejako symbolem Polski. Wyjatkowe i wszechstronne uzdolnienie, umysł nad zwyczaj lotny i bystry, świetna pamięć, rozległe zainteresowania i wytrwała praca sprawiły, że Paderewski osiągnął szczyt doskonałości jako wirtuoz, pełnię umiejętności jako kompozytor, ale też ogromna wiedzę ogólna, a przede wszystkim taka znajomość historii i literatury polskiej i wszystkich spraw narodu, że stał się jednym z najpełniejszych przedstawicieli polskiej kultury, którą całkowicie wchłonał w siebie. To pozwoliło mu stać się rzecznikiem interesów polskich w co raz szerszych kołach za granica, gdzie dzięki swemu muzycznemu geniuszowi, niepospolitym przymiotom umysłu i serca i świetnym zaletom towarzyskim pozyskał sobie ogromnie licznych wielbicieli i przyjaciół. Jego gorący patriotyzm nakazywał mu wszędzie szerzyć znajomość dziejów i położenia narodu polskiego, zyskiwać dla niego sympatię i szacunek, bronić przed napaściami i niesprawiedliwymi sadami, neutralizujac w ten sposób w miarę możności szkodliwą, nieraz oszczerczą propagandę nieprzyjaciół.

W ten sposób Paderewski wysuwał się co raz bardziej na czoło narodu, stając w rzędzie najwybitniejszych jego przedstawicieli i najbardziej powołanych obrońców. Uczuł więc ciażącą na nim odpowiedzialność i nie uchylił się od niej. Co zaś uznał za swój obowiązek, to spełnił z całym poświęceniem i ofiarnością. Obdarzony niepospolitym darem wymowy, Paderewski wykształcił się też na doskonałego mówcę.

Co raz częściej zabierał głos publicznie w sprawąch ogólnego znaczenia, co raz wydatniej popierał swym wpływem, a niemniej i środkami materialnymi instytucje, organizacje i dzieła wszelkiego rodzaju, majace dobro narodu na celu. Jaka zaś była jego rola w czasie Wielkiej Wojny, jaką jego niezmordowana a skuteczna działalność, jak ogromne jego zasługi, o tym wiemy wszyscy; wielu zreszta z nas pamięta te dzieje. Po zakończeniu wojny Paderewski jako prezes Rady Ministrów, jako delegat na kongres pokojowy, a później jako delegat do Ligi Narodów, wystapił wreszcie urzedowo jako jeden z czołowych reprezentantów Polski. Nieoficjalnie zaś był nim już dawno przed tym; pozostał też nim do dnia dzisiejszego. W ostatnich miesiacach zgodził sie znowu zostać najwyższym przedstawicielem Narodu jako Prezes Rady Narodowej. Wobec niezmiernie smutnych okoliczności i ciężkich warunków, w jakich to nastapiło, wobec podeszłego jego wieku i nadwatlonego jego zdrowia, postanowienie to jest może najpiękniejszym czynem jego życia.

Z okazji 80-lecia Paderewskiego powinniśmy prosić Boga, aby nam zachował w najdłuższe lata tego Wielkiego Rodaka. Dla jego obywatelskich cnót i siły patriotycznych uczuć i dla niezmordowanej pracy dla dobra ogółu powinien on zostać wzorem dla najdalszych naszych pokoleń, wzorem, w który wpatrywać się powinniśmy, zwłaszcza w chwilach ciężkich i bolesnych jak obecna.

Jeżeli wolno narodowi z upodobaniem i szlachetna duma przegladać się w postaci swych najlepszych i najwiekszych synów, aby mieć świadomość swojej siły i godności, aby wierzyć w swoje powołanie i czerpać otuchę dla jego spełnienia, to nam wprost należy w obecnej niedoli naszej szukać, w tym co mamy najdoskonalszego i najlepszego, sił i "pokrzepienia serc," abyśmy nie upadli na duchu i nie zwatpili, lecz przeciwnie, abyśmy z wiarą patrzeć mogli w przyszłość.

Bo to, co Paderewski powiedział o Chopinie, w znanej mowie w setna rocznice jego urodzin: "naród, który takiego wydał-syna, zginąć nie może"—zastosować nam wolno w odniesieniu do niego samego.

Zwycięstwo pod Waszyngtonem

Wybór prezydenta Roosevelta jest największym zwycięstwem, jakie Anglia i kraje z nią sprzymierzone odniosły dotychczas w tej wojnie, jest jednocześnie wielkim zwycięstwem demokracji światowej.

39: 9—468: 63

Wybór jest triumfalny. Z 531 głosów elektorskich Roosevelt będzie miał 468, a Willkie jedynie 63. Z 48 stanów za Rooseveltem wypowiedziało się 39, za Willkiem 9. Co ważniejsze, jednoczesne wybory jednej trzeciej Senatu całej Izby Reprezentantów dały większość stronnictwu demokratycznemu, tak że powtórzenie sytuacji z roku 1918, gdzie Wilson miał przeciwko sobie większość parlamentu, co uniemożliwiało wszelką akcję i doprowadziło do niezatwierdzenia Traktatu Wersalskiego, nie grozi. Prezydent Franklin Roosevelt ma rozwiązane ręce. Większość narodu amerykańskiego dała mu bezwarunkowy mandat do kontynuowania jego polityki.

Jeżeli mówimy, że zwycięstwo Roosevelta jest i naszym zwycięstwem, to nie znaczy to bynajmniej byśmy poddawali w wątpliwość szczerość Willkiego, gdy twierdził, że i on jest za daniem pomocy Anglii. Jest faktem, cośmy w swoim czasie podkreślili, że Willkie tylko dzięki temu uzyskał nominację republikanów na prezydenta, iż zobowiazał się do kontynuowania tej pomocy. Jest faktem, że natychmiast po porażce w przemówieniu radiowym Willkie oświadczył: "Będę prowadził dalej moją pracę dla jedności naszego narodu, dla wzmocnienia naszego wysiłku uzbrojeniowego, dla posyłania posiłków Anglii."

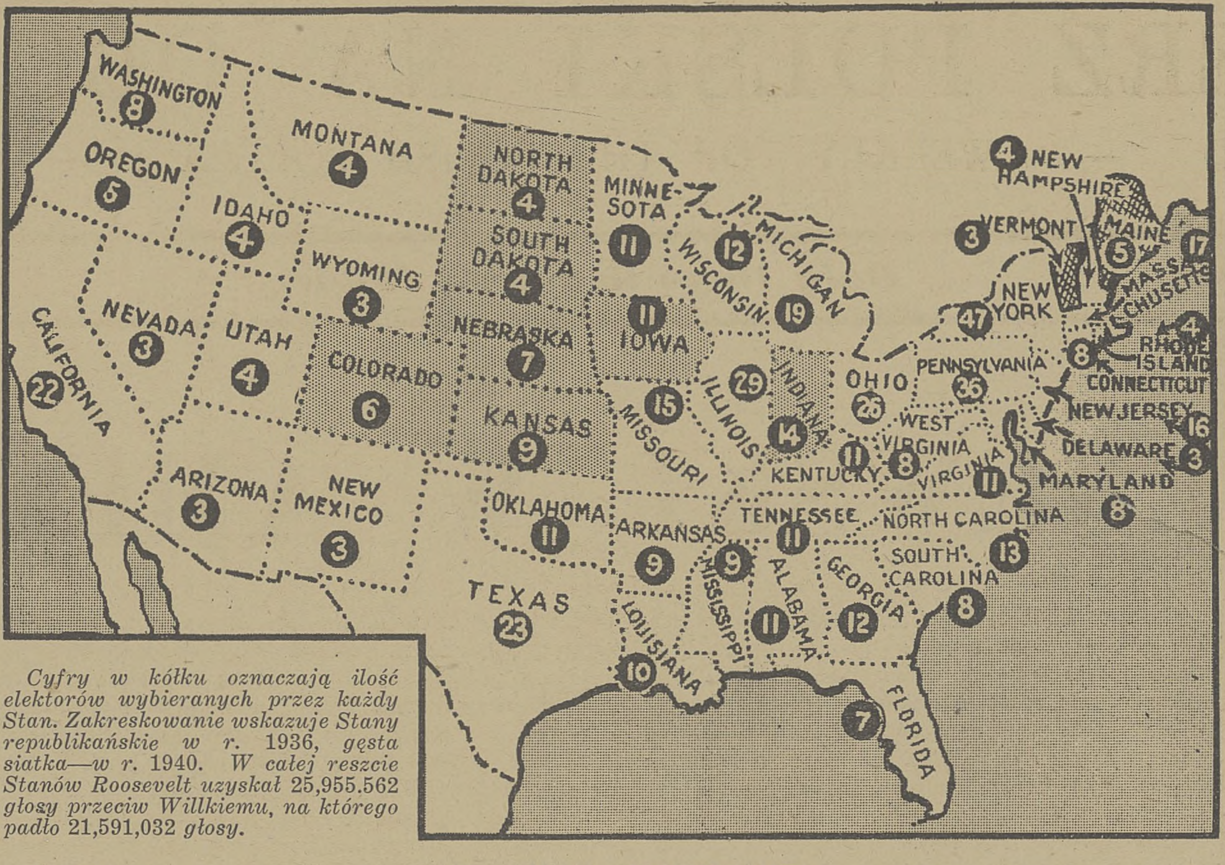
OBCIĄŻENIA OSOBY I KANDYDATURY WILLKIEGO

Mimo to wybór Willkiego w praktyce byłby oznaczał osłabienie pomocy amerykańskiej, a to dla następujących powodów:

1/ Partia republikańska wybrała Willkiego na swego kandydata, bo rozumiała, że jedyną szansę zwyciężenia Roosevelta stanowi wystawienie kontrkandydata, równie antyhitlerowskiego. Jest jednak faktem, że dotychczas sprzeciwiała się ona wszelkim posunięciom, które by stanowiły skuteczną pomoc. W jednym z przemówień przedwyborczych Roosevelt wypomniał politykom republikańskim, że oni, którzy dziś głośno krzyczą: "My też chcemy pomóc Anglii"—walczyli przeciw zmianie ustawy o neutralności, walczyli przeciw wszystkim konkretnym posunięciom.

2/ Mimo, że Willkie osobiście jest antyhitlerowcem, kandydaturę jego popierali wszyscy jawni i półjawni faszyści i hitlerowcy amerykańscy z pułkownikiem Lindberghiem, uznanym w Stanach nieomal za wodza "piątej kolumny," na czele. Popierali Willkiego wszyscy izolacjoniści (to znaczy zwolennicy niemieszania Stanów w sprawy europejskie) na czele ze słynnym senatorem Hiramem Johnsonem z Kalifornii. Willkiemu niepodobna by było nie liczyć się z tym faktem. Zresztą w propagandzie swej nie zawahał się on użyć argumentu, że Roosevelt chce Amerykę wciągnąć do wojny dla ratowania Anglii, co wyraźnie wskazuje na to, że jego pomoc byłaby słabsza, niż ta, której udzieli Roosevelt.

3/ Gdyby nawet odrzucić ten argument, pozostaje niewątpliwy fakt, że sama zmiana prezydenta musiałaby wpłynąć ujemnie na tempo pomocy. W Ameryce dotychczas panuje "*spoils system*"—system łupów. Zmiana prezydenta oznacza nie tylko zmianę ministrów, ale zmiany na wszystkich kierowniczych stanowiskach dyplomatycznych i urzędniczych, to znaczy zahamowanie na pewien czas normalnej pracy, dopóki się nowi ludzie do niej nie wdrożą, dopóki się z zagadnieniami nie zapoznają. Co by to oznaczało obecnie, wystarczy jeden przykład. Rozmowy o uzgodnieniu obrony Stanów i Kanady musiałyby być przerwane na pewien czas, bo byłby ustąpił prezes wspólnego komitetu, burmistrz New Yorku La Guardia. A w każdym razie przez trzy miesiące t.j. do daty objęcia urzędu przez nowego prezydenta Ameryka byłaby bezczynna.



Cyfry w kółku oznaczają ilość elektorów wybieranych przez każdy Stan. Zakreskowanie wskazuje Stany republikańskie w r. 1936, *gęsta siatka—w r.* 1940. *W całej reszcie Stanów Roosevelt uzyskał* 25,955.562 *głosy przeciw Willkiemu, na którego padło* 21,591,032 *głosy.*

4/ Wreszcie nie należy nie doceniać efektu propagandowego, jaki by miał wybór Willkiego. Jeżeli dla Hitlera i Mussoliniego wrogiem Nr. 1 jest Winston Churchill, to zaraz po nim, jako wróg Nr. 2—figuruje Franklin Delano Roosevelt. Porażka Roosevelta byłaby niewątpliwie wyzyskana przez maszynę propagandową Goebbelsa i w Niemczech i w krajach Ameryki łacińskiej, jako dowód, że Stany nie wejdą w żadnym przypadku do wojny, jako zdezawuowanie przez naród amerykański polityki pomocy dla Anglii. Zwycięstwo Roosevelta mówi jasno wszystkim neutralnym, a przede wszystkim ludności Niemiec, że dalsza walka Hitlera jest beznadziejna, bo Stany raczej wejdą do wojny, niżby miały dopuścić do zwycięstwa nazizmu. Giełda londyńska—jeden z najczulszych barometrów—od razu to zrozumiała. Wybór Roosevelta był dla niej sygnałem silnej podwyżki wszystkich walorów angielskich.

PRZESZKODY SPIĘTRZONE PRZED ROOSEVELTEM

Ażeby dokładnie zrozumieć, jakie opory Roosevelt musiał przezwyciężyć, aby ponownie zostać prezydentem trzeba sobie zdać sprawę z tego wszystkiego, co przeciw niemu walczyło. Miał Roosevelt przeciwko sobie wszystko to, co po angielsku nazywa się "*vested interests,*" to jest całą siłę kapitału amerykańskiego. Przeciw niemu była potężna Wall Street, giełda nowojorska, której człowiekiem był Willkie. Przeciw niemu był cały przemysł amerykański, Ford i Remington, wielkie trusty elektryczne i Standard Oil.

Przeciw Rooseveltozi przemawiało 80% prasy amerykańskiej z największymi dziennikami nowojorskimi "New York Times" i "New York Herald Tribune" na czele.

W ostatniej chwili udało się nawet Willkiemu pozyskać jednego z przywódców robotniczych. Dla niewiadomych powodów John Lewis, organizator "*Congress of Industrial Organization,*" potężnej centrali związkowej, która była na lewo od tradycyjnej organizacji syndykalnej "*American Federation of Labour,*" wystąpił za Willkiem, niepomny tego, że jedynie Rooseveltowi i reformom Roosevelta jego organizacja zawdzięcza możność działania. Lewis oświadczył, że nie ma zaufania do Roosevelta, albowiem pochodzi z rodziny arystokratycznej i nic nie ma wspólnego z ludem pracującym, Willkie natomiast (nawiasem mówiąc: dziś jeden z magnatów przemysłowych) zaczął swą karierę jako biedny chłopak. Lewis dodał, że wybór Roosevelta uważać będzie za zdezawuowanie siebie i że w tym wypadku zrzeknie sie kierownictwa C.I.O. (dotychczas się nie zrzekł). Sam zaś Willkie zapewnił robotników, że nie ma zamiaru odebrać im tych zdobyczy, które im dał Rooseveltowski *New Deal* (ten sam *New Deal,* który przyjaciele Willkiego najgwałtowniej zwalczali).

Wreszcie przeciw Rooseveltowi przemawiał argument tradycji. Od czasu, kiedy Jerzy Waszyngton odmówił trzeciego wyboru zasada, że prezydent nie może po raz trzeci kandydować była zasadą bezwzględną. Przeciętny Amerykanin uważał naruszenie tej zasady za świętokradztwo. Dwaj jedyni prezydenci, którzy pokusili się o trzeci wybór, jenerał Grant i Teodor Roosevelt, haniebnie przegrali. W najbliższym otoczeniu Roosevelta byli przeciwnicy trzeciego wyboru. Jim Farley, organizator pierwszego i drugiego wyboru Roosevelta, faktyczny przywódca partii demokratycznej, wycofał się z rządu i wyraźnie zdezawuował Roosevelta. Wiceprezydent Stanów Garner demonstracyjnie wcale nie głosował we wtorek. Propaganda Willkiego szalony akcent kładła na to, że trzeci wybór prowadzi nieuchronnie do dyktatury, że Roosevelt łamiąc uświęconą tradycję, grzebie demokrację amerykańską.

Na pozór więc koalicja antyrooseveltowska była imponująca i wszyscy kometatorzy i korespondenci twierdzili, że wybory są niezwykle otwarte. Profesor Gallup, który wypracował niesłychanie subtelny i misterny sposób badania opinii publicznej oświadczył w wilię wyborów, że według jego obliczeń Roosevelt ma za sobą 51% opinii, a Willkie 49% że jednak wobec dwustopniowości wyborów nie jest w stanie przepowiedzieć, kto zwycięży. . . . A jednak Roosevelt został wybrany olbrzymią większością. Co to znaczy?

"SZARY CZŁOWIEK" PRZEPROWADZIŁ SWOJĄ WOLĘ

To znaczy, że o wyborach zdecydował szary czlowiek, ten szary człowiek, który nie dba o Wall Street, ani o opinię wielkich pism, którego jest trudno uchwycić nawet ankietowcom organizacji Gallupa. Zdecydował o wyborach farmer, sklepikarz, robotnik. Zdecydowały przede wszystkim wielkie miasta. Stan nowojorski był niezwykle ważny, wybiera on bowiem 47 elektorów. Stan wybrał Roosevelta, bo Roosevelta wybrało miasto New York.

Szary człowiek, przeciętny Amerykanin wybrał Roosevelta, bo mu wierzy, że nie dopuści do zwycięstwa Hitlera. Ale wybrał go także dla tego, bo ufa polityce wewnętrznej Roosevelta. Willkie i jego ludzie krzyczeli, że polityka społeczna Roosevelta hamuje rozwój dobrobytu w Stanach. Tłumaczyli, że jak tylko się powróci do dawnych, wypróbowanych metod gospodarki bez kontroli państwowej, to wrócą znowu złote czasy, każdy będzie miał pracę i każdy będzie mógł zostać bogaczem.

Szary człowiek im nie uwierzył. Wybór ponowny Roosevelta oznacza, że ma on mandat narodu na kontynuowanie swej polityki reform społecznych, na dalsze kroki w ustawodawstwie pracy, na dalszą walkę z trustami i kapitałem monopolowym, na dalsze usiłowanie stworzenia obok demokracji politycznej—demokracji społecznej.

Zwycięstwo Roosevelta jest zwycięstwem demokracji.

WODZOWIE WOJNY O DEMOKRACJĘ

Jedna uwaga, końcowa. Zwolennicy dyktatur twierdzą, że demokracje są niezdolne do wyboru właściwych przywódców, że jedynie systemy dyktatorskie czy elitarne zapewniają właściwy dobór ludzi.

A jednak w poprzedniej wojnie to demokracja angielska wysunęła na czoło Lloyd George'a a demokracja francuska Clemenceau—dwóch wyjątkowych ludzi, którzy mogli byli doprowadzić wojnę do zwycięskiego końca.

Dzisiaj Anglią rządzi Winston Churchill, który jeszcze dwa lata temu był uważany za odsuniętego raz na zawsze, którego własna partia nie uznawała, bo jest niewątpliwie największym mężem stanu Anglii.

Zaś lud amerykański oddał swe losy w ręce bezwzględnie największego z żyjących mężów stanu—Franklina Roosevelta.

Nie jest tak źle z demokracją.

Czesław Poznański

Rewolucja na kontynencie ?

W prasie angielskiej i publicystyce W. Brytanii dyskutuje się w ostatnich czasach nader żywo sprawę wybuchu na kontynencie europejskim zbrojnego buntu przeciwko Trzeciej Rzeszy. Ukazują się na ten temat spore artykuły, rozprawy i rozważania, są już nawet książki, które przedstawiają jak do tego rodzaju zbrojnego powstania może dojść i jaki będzie ono miało przebieg. Nie brak autorów, którzy obiecują "loo milionów sprzymierzeńców — jeżeli tylko zechcemy."

W tej całej interesującej dyskusji nie brak głosów i skłonności, które należy z punktu przygwoździć, jako szkodliwe i krótkowzroczne. Należą one do rodzaju, dla którego język angielski stworzył określenie "*wishful thinking*" a polski: "pobożne życzenia." Są zatem autorzy i pisarze, którzy przyjmują bunt na kontynencie Europy za pewnik i tak dalece upajają się tą sprawą, iż widzą już w rewolucji kontynentalnej gwarancję wygranej wojny. Uważają oni, że zwycięstwo przyjdzie na tej właśnie drodze i że będzie stosunkowo łatwe.

Ci prorocy kierują się chęcią —wymigania się od maksymalnego wysiłku, łudzą się wygodną nadzieją, że wojna nie będzie aż tak ciężka i nie będzie wymagała aż tak wielkich wkładów i ofiar. Nazwać ich należy smutnymi pozostałościami złudzeń "*Sitzkriegu*" — wojny robionej "na siedząco"; słabeuszami, co wierzą w cud oszczędzający im samym wysiłku, ludźmi, którzy podświadomie wierzą, że znajdzie się ktoś, kto będzie się za nich bił i krwawił i kto za nich przeważy szalę.

Ta myśl, jak czerwona nić, przewija się przez liczne rozumowania teoretyków angielskich. Rewolucja na kontynencie ma po prostu rozbić Rzeszę niemiecką, rozsadzić całą budowlę i załatwić sprawę zwycięstwa.

Odrzućmy z punktu tego rodzaju złudzenia. Rewolucje wybuchają w państwach pobitych—bunt na kontynencie jest nie do pomyślenia bez powalenia militarnego Rzeszy. Jest to pierwszy i podstawowy fakt, o którym zapominają wygodni prorocy buntu kontynentalnego.

Druga sprawa, to zagadnienie broni. Prorocy rewolucji nie biorą pod uwagę faktu, że w danej chwili broń na kontynencie posiadają niemal że wyłącznie Niemcy (oraz Włosi) Francja oddała swoje zasoby Rzeszy, Rumunia wymienia swoją broń na typ niemiecki. Niewielkie ilości broni znajdują się w Finlandii, Hiszpanii czy Szwecji. Ale w podbitej Europee ilość broni jest żadna albo znikoma. Jeżeli istnieje, to pochowana; ogranicza się do broni palnej, którą dzisiaj w epoce bombowca, karabinu maszynowego i karabinu automatycznego "*sub-machine gun*" nikt walczyć nie może.

Minęły czasy powstań, kiedy niewiekie oddziały wyposażone w broń zdjętą z nad kominka czy ze ściany, rozpoczynały partyzantkę, zdobywały broń na garnizonach wroga i nękały go walką podjazdową. Dzisiaj tego rodzaju akcje mogą prowadzić tylko oddziały po rozbiciu swych armij. Jeżeli toczyło się partyzantkę w Polsce rok temu, jeżeli odbywa się ona dzisiaj w takiej n.p. Albanii, czy nawet w Hiszpanii /górnicy z Asturii/,—to jest rzeczą jasną, że tego rodzaju dywersje nie mogą być groźne dla armii nowożytnej.

Pozostaje wreszcie trzecie, bynajmniej nie obojętne pytanie; jaki charakter ma posiadać rewolta w Europie? Czy będzie to tylko bunt przeciwko ciemiężcy, czy raczej ruch o charakterze społecznym?

Zważywszy to wszystko, dochodzimy do takiego oto wniosku:

1/ Wstępnym warunkiem zorganizowania buntu na kontynencie Europe jest dokładna znajomość warunków, jakie panują w rozmaitych podbitych krajach. Dotychczas służba tego rodzaju nie jest postawiona na należytym poziomie: brak nam dokładnych i rzetelnych informacyj o nieraz bardzo bliskich terenach/ przykładem bałamutne informacje z niezajętej Francji);

2/ Bunt na kontynencie musi być uzgodniony w czasie z momentem, kiedy w i ą z a n i a Rzeszy poczną trzeszczeć. Rewolucja kontynentalna musi być zaopatrzona na czas w broń i wsparta akcją wojsk sprzymierzonych na kontynencie Europy. Bez tej akcji—rozpoczętej lądowaniami w wielu punktach podbitego kontynentu—nie obejdzie się. Nawet 100 000 samolotów nie potrafi opanować terenu.

3/ Bunt na kontynencie musi mieć plan, cel, kierunek. Nie jest obojętne, czy będzie to bunt przeciwko Rzeszy, czy rewolta o charakterze komunistycznym. Rewolucja drugiego rodzaju może bowiem wyjść n.p. z Rzeszy, może opanować część armii niemieckiej i w rezultacie stać się buntem *d l a* Niemiec. Rzesza w pewnym momencie stałaby się ośrodkiem rewolucji, komunistycznej i zagarnełaby kontynent nowym pożarem. Tego rodzaju rewolucja. z Rzeszą w roli reżysera i wykonawcy, nie byłaby doprawdy zbyt wygodna, ani celowa dla W. Brytanii.

O tych wszystkich rzeczach pamietać należy, gdy rzuca się zbyt łatwe nieraz proroctwa o buncie na kontynencie.

Londyn, 5 listopada, 1940

Zbigniew Grabowski

Wódz Wielkiej Demokracji: Prezydent Stanów Zjednoczonych



Franklin Roosevelt

W dniu 5-go listopada Stany Zjednoczone dokonały wyboru swego prezydenta na okres lat: 1941-1945. Wiadomo, że wybór prezydenta jest w Ameryce zawsze wydarzeniem, które sprawia, że całe tamtejsze 120-milionowe społeczeństwo wrze i kipi, jak długie i szerokie. Tym razem okoliczności wojenne sprawiły, że i w Europie śledziło się przebieg wyborów z mocno nagrzanym zainteresowaniem. Jeśli zważyć, że w republikach europejskich wybór prezydenta niezmiernie rzadko wywołuje jakiekolwiek podniesienie temperatury opinii publicznej, jasne się staje, że stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych musi różnić się wagą od skromnej roli, jaką odgrywają w Europie zwierzchnicy państw republikańskich.

Zapewne, niejakie znaczenie przypisać należy okoliczności, że w Europie wybiera prezydenta szczupłe grono wyborców, bo złożone jedynie z członków ciał ustawodawczych, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych do wyborów staje cały lud a przeto fale agitacji rozlewają się i pienią nieporównanie szerzej. Jednakowoż i wewnętrzne podniecenie amerykańskie i żywe zainteresowanie się zagranicy tym, kto osiądzie w waszyngtońskim Białym Domu,* tłomaczy się przede wszystkim tym, że prezydent Stanów posiada zupełnie szczególną władzę i sięga osobistym wpływem bardzo głęboko w życie olbrzymiego i olbrzymio bogatego społeczeństwa amerykańskiego.

Gdy w r. 1787 zebrało się w Filadelfii 55 statecznych mężów, aby obmyślić konstytucję dla 13 stanów, które w długoletnich bojach wywalczyły sobie były niezawisłość od macierzy wielkobrytyjskiej, wówczas wspólną im wszystkim myślą była obawa przed "tyranią." Wyzwolenie nie przyszło łatwo. Trzeba było walczyć o nie bez mała dziesięć lat. Koszt zwycięstwa był wielki. To też chciano zabezpieczyć sobie swobodny oddech, chciano pobudować przeszkody, aby nie mógł odżyć od wewnątrz ucisk, któremu od zewnątrz położono właśnie koniec. Precz z samowolą władzy, precz z niekontrolowanymi rządami.

Cały niepospolity wysiłek "ojców konstytucji" szedł więc ku temu, by ustanowić porządek, przy którym władza wykonawcza, władza prawodawcza i władza sądowa trzymałyby się wzajemnie w szachu. Uważano, nie bez racji, że obywatele będą mogli kłaść się spać bez obawy obudzenia się pod czyimkolwiek despotyzmem, gdy rząd, parlament i sądy będą iść oddzielnie, każde swoją drogą, nie wtrącając się jedni do drugich, ale też jedni, nie pozwalając drugim brykać. Nazywa się to podziałem władzy. W praktyce wyglądało to—i wygląda do dziś dnia, bo konstytucja amerykańska od 150 lat nie uległa zasadniczym zmianom—jak następuje:

Władza prezydenta jest zarówno pochodzenia ludowego, jak władza parlamentu, zwanego Kongresem. Prezydent wybrany przez większość ogółu mieszkańców, uprawnionych do głosowania, może śmiało patrzeć w oczy posłom i senatorom, nie odczuwa zależności od nich i nie potrzebuje zabiegać o ich względy. Może w orędziach do Kongresu rąbać mu słowa prawdy—bez żadnego skrępowania, bo w Stanach nie ma ministrów odpowiedzialnych przed parlamentem za każdy krok zwierzchnika państwa, o których zgodę przeto prezydent musiałby zabiegać. Ministrowie są wykonawcami *jego* tylko woli, od niego tylko są zależni, przed nim jedynie zdają sprawę ze swych czynności; przez niego, wedle jego własnej fantazji, mianowani—znikają, gdy mu się znudzą. Prezydent jest następnie naczelnym wodzem armii i floty, którym może wydawać rozkazy bez niczyjego pośrednictwa i którymi rządzi bez potrzeby oglądania się na opinię ministra wojny. Choć więc sam nie ma prawa wypowiedzieć wojny, to jednak może swymi posunięciami wojskowymi doprowadzić do położenia, w którym wypowiedzenie wojny staje się koniecznością.

On też zawiera umowy międzynarodowe, on mianuje ambasadorów, posłów, konsulów, wielu urzędników federalnych sędziów Sądu Najwyższego i wielu urzędników federalnych (to znaczy *całego* państwa, w odróżnieniu od urzędników poszczególnych Stanów. Wreszcie ma prawo odmówić podpisu pod każdą ustawą uchwaloną przez Parlament i przez to ją udaremnić.

***

Zapewniwszy w ten sposób władzy wykonawczej wielką swobodę działania, "ojcowie konstytucji" zatrzymali się w rozpędzie i poczęli sypać szańce władzy prawodawczej.

Przede wszystkim więc ustanowili nierozwiązalność parlamentu. W Europie konstytucje monarchiczne i republikańskie przewidują, że w pewnych warunkach rząd może rozwiązać krnąbrne Izby i rozpisać nowe wybory. Niech się społeczeństwo wypowie i w ten sposób rozstrzygnie się spór pomiędzy rządem a parlamentem. W Stanach Zjednoczonych nie ma tego. Rząd, czyli prezydent, może tam ciągnąć w jedną stronę, a parlament w drugą—aż do skutku, to znaczy, póki nie upłynie czas urzędowania albo prezydenta albo izb prawodawczych.

Uniezależniono następnie parlament, nie pozwalając ministrom występować w żadnej z izb. Postanowiono, że jeśli prezydent odmówi podpisu pod ustawą, można przełamać jego opór, uchwalając ustawę ponownie większością dwuch trzecich głosów. Zastrzeżono, że do ważności traktatów, zawieranych przez prezydenta, potrzebna jest zgoda dwóch trzecich senatorów. Dano też senatowi prawo wyrażania zgody na mianowania wysokich urzędników.

Tu "ojcowie konstytucji" znów się zreflektowali i postanowili wyposażyć trzecią władzę sądowa w możność podstawienia nogi Kongresowi, w razie gdyby się rozhulał: Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych może uznać ustawę uchwaloną przez parlament za sprzeczną z konstytucją a przeto nieważną. Panowie posłowie i senatorzy mogą długo rozprawiać, mogą sobie potem uchwalić, co chcą, prezydent może ich uchwałę zaopatrzyć podpisem, dziennik urzędowy ją ogłosi, ale—ale potem może przyjść Sąd Najwyższy i powiedzieć, że to wszystko na szmelc i że obywatele mogą sobie z tego nic nie robić. W ten sposób Sąd Najwyższy stał się jedyną w Stanach Zjednoczonych naprawdę niezależną i przez nikogo niehamowaną władzą. Jakkolwiek bowiem sędziów tego trybunału mianuje prezydent w porozumieniu z senatem, to jednak po mianowaniu klamka zapadła i sędziego nie można usunąć, póki sam nie zechce ustąpić lub póki mu śmierć do tego nie dopomoże.

Parlament amerykański jest bardzo zazdrosny o swą niezależność od rządu i nieraz uważa sobie za punkt honoru krzyżować drogi polityki prezydenta. Nieraz posłowie czy senatorowie, należący do tego samego stronnictwa co prezydent, głosują przeciw projektom, które on najusilniej właśnie popiera, a czynią tak, aby mu pokazać, że choć on pan, to i oni panami na swej zagrodzie, i żeby mu przypomnieć, że bez ich dobrej woli niedaleko pociągnie.

Owóż jeżeli tak jest—a na dowód wystarcza przytoczyć, jak to po wojnie światowej prezydent Wilson ułożył z wielkim nakładem pracy i ambicji szereg umów z państwami europejskimi i jak mu je potem kilku szturchnięciami senat amerykański bez ceremonii wywrócił—jeżeli tak jest, czemuż z takim zainteresowaniem śledzi się, komu parlament Stanów Zjednoczonych będzie miał sposobność stroić fochy i przeszkadzać?

Odpowiedź brzmi, że mimo wszystko prezydent jest niezmiernie ważkim czynnikiem w amerykańskim życiu politycznym. Miliony, które obrały go zwierzchnikiem państwa, chcą w nim szanować symbol demokratycznej państwowości i gotowe są zawsze *słuchać uważnie* jego głosu. Lud amerykański rozumie, że nie po to dane mu jest jedno z największych dóbr—możność swobodnego obierania sobie naczelnika rządowego—aby je potem lekceważył.

Zapewne, nie każdy wybór mu się udawał. Dostawali się w ciągu 150 lat istnienia konstytucji amerykańskiej do Białego Domu ludzie o bardzo miernych zdolnościach, bezbarwni i nieszczególnego nawet charakteru. Tłomaczy się to tym, że w okresach pomyślności—a było ich dużo po tamtej stronie Oceanu—lud amerykański mało się frasuje polityką i nie przywiązuje do niej wielkiej wagi. Ale jest znamienne, że gdy czasy bywały trudne, zawsze oglądano się za kandydatem o silnej osobowości i wybierano człowieka, którego głosu warto było słuchać.

Wszyscy znawcy życia politycznego w Stanach Zjednoczonych zgodnie stwierdzają, że prezydent tamtejszy żyje w szklanym domu. Zawsze na widoku ludzkim, zawsze łatwo dostępny, nie otoczony żadną pompą, czuje na sobie nieustannie spojrzenia całego społeczeństwa i nigdy nie uchyla się od styczności z nim. Każdego jego słowa całe społeczeństwo słucha zawsze uważnie, oczekując odeń praktycznych wskazówek i jasnych, zdrowym rozsądkiem nacechowanych, poglądów na najważniejsze sprawy publiczne.

W tych warunkach człowiek o rozległych widnokręgach i wielkiej sile charakteru może wywierać ogromny wpływ na opinię społeczeństwa. Przykładu, jak tego wpływu można użyć, umiejętnie wyzyskując okoliczności, dostarcza nam znowu prezydent Wilson. Był on zwolennikiem przyłączenia się Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Wojny po stronie Francji i Anglii. Ale Amerykanie byli początkowo o całe światy oddaleni od myśli wojowania w Europie. Jeszcze w końcu r. 1915, Wilson, kandydując ponownie na prezydenta /pierwszy raz obrano go w r. 1912/ musiał płacić haracz stanowczej opinii publicznej i włączyć do swego programu hasło neutralności tak samo, jak i obecnie prezydent Roosevelt, oświadczając się za udzieleniem jak najszerszej pomocy W. Brytanii, głosił, że nie chce *czynnego* przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny. Ale już w kilka miesięcy później, w r. 1917, Stany Zjednoczone wypowiedziały wojnę Niemcom! Wilson potrafił wyzyskać pewne zmiany w nastrojach /zwłaszcza po barbarzyńskim zatopieniu przez Niemców pasażerskiego statku "Lusitania"/ i szeregiem zręcznych posunięć podprowadził opinię publiczną do punktu, w którym społeczeństwo oświadczyło się z zapałem za wojną i—co najważniejsze—zdobyło się od razu na olbrzymi wysiłek gotowania wyprawy do Europy.

Czy historia się powtórzy? . . .

Publicjusz

* Siedziba prezydenta.

Odznaczenie polskiego lotnika przez Armie Brytyjską

Dnia 5.bm. po południu na jednym z lotnisk w okolicy Londynu odbyło się uroczyste udekorowanie angielskim odznaczeniem bojowym pilota polskiego, znanego sierżanta (nazwiska ze względów zrozumiałych nie podajemy), który zestrzelił jednego dnia pięć samolotów wroga.

Dekoracji dokonał generał angielski wobec całego personelu dywizjonu angielskiego, w którego skład wchodzi słynny nasz pilot. W składzie tego dywizjonu walczy jeszcze dwóch innych pilotów polskich.

Na uroczystość dekoracji przybył Generał Inspektor Polskich Sił Powietrznych w Anglii, w towarzystwie attaché lotniczego, pułk. obs. dypl. Bohdana Kwiecińskiego i Kierownika Samodzielnego Referatu Ogólnego Inspektoratu P.S.P. Generał Inspektor Lotnictwa rozmawiał przez dłuższy czas przed dekoracją z pilotem, interesując się jego bojowymi wyczynami, życiem służbowym i osobistym. W czasie rozmowy z Generałem na młodej twarzy pilota błąka się wesoły, szczery uśmiech, a oczy błyszczą na wspomnienie walk.

W walce powietrznej jest bardzo duże napięcie nerwów, są jednak chwile i pobudzające do śmiechu. Sposób myślenia w powietrzu jest trochę odmienny od układania się myśli na ziemi. W powietrzu mianowicie myśl jest bardziej wyraźna, bardziej zwięzła, bardziej męska i mimo zawsze poważnej sytuacji w powietrzu w czasie wojny, są przeżycia zabarwione swoistym humorem.

Proszę czytelnika wczuć się w sytuację w powietrzu, którą przeżywał słynny lotnik. Wczuć się w te proste słowa, którymi zdarzenia opowiada.

— "Pewnego dnia, daty nie pamiętam, tyle jest przeżyć w powietrzu, że daty ich się zacierają—spotkaliśmy na wysokości 25.000 stóp około 70 samolotów bombowych, lecących pod osłoną około 200 Messerschmidtów. Pierwsze klucze naszego dywizjonu natarły na bombowce, ostatnie—związały się walką z myśliwcami.

Byłem w jednym z kluczy nacierających na pościgowce. Po jednej krótkiej serii samolot mego przeciwnika zapalił się, leciał jednak. Ciekawy byłem co się stanie, co zrobi pilot. Podszedłem doń zupełnie blisko, na odległość 20 mtr i tak leciałem z nim dalej, obserwując. Pilot nie chciał wyskakiwać. Usiłował pożar ugasić. Przeleciał tak paląc się około 15 mil. Wreszcie otworzył pokrywę kabiny i wyskoczył. Widziałem jak spadał i jak otworzył spadochron. Gdy spadochron rozwinął się i pilot zawisł na nim pewnie w powietrzu—wyciągnął nagle prawą rękę przed siebie, jak to robią hitlerowcy.

Odleciałem zobaczyć, gdzie spadł jego samolot, wtem wpadła mi do głowy myśl nastraszyć go i wypróbować tę hitlerowską butę. Wróciłem i udałem, że go atakuję. Niemiec trzymał rękę do góry, widząc, że nie strzelam, gdy jednak podleciałem doń na około 50 mtr.. wyciągnął i drugą rękę w powietrze na znak, że poddaje się, a na twarzy jego malowało się przerażenie. Próby nie wytrzymał. Zostawiłem go w spokoju. Przyznaję się, że to teatralne zachowanie się Niemca, a potem jego strach—ubawiło mnie.

W czasie jednej z walk pilot angielski wyskoczył ze spadochronem z płonącego samolotu. Gdy spadochron rozwinął się, zobaczyłem, jak dwóch Niemców zaatakowało bezbronnego, wiszącego na spadochronie, otwierając nań ogień ze swych karabinów maszynowych i armatek. Pociski na szczęście chybiły.

Pośpieszyłem mu z pomocą i zaatakowałem Niemców. Na mój widok jeden od razu zwiał, drugiego dopadłem i z bliska oddałem serię strzałów. Jego samolot zapalił się. Niemiec próbował wyskoczyć, wysunął się do połowy z kabiny, lecz tak został, widocznie jeden z moich pocisków musiał go ugodzić. Dopilnowałem aż kolega Anglik wyląduje.

Lecieliśmy pewnego razu w chmurach i otrzymaliśmy wiadomość przez radio, że nadciąga wyprawa bombowa nieprzyjaciela. Polecieliśmy w tym kierunku. W jednym z okien chmur zobaczyłem 50 bombowców wprost pod nami, a nad nami chmarę osłaniających ich myśliwców, które nie wiadomo, czy nas widziały. Bez namysłu zawołałem "lovely attak" /kochany atak/ i spadliśmy wprost pionowo na nich. Za nimi w pewnym odstępie ciągnęło drugie tyle bombowców.

Atak ten był bardzo ciężki, ze względu na prawie prostopadłą pozycję, w jakiej na nich spadaliśmy. Na nasz widok Niemcy przerazili się, wszystkie swoje bomby upuścili od razu i rzucili się do ucieczki. Widzieliśmy wybuchy bomb i ogień bomb zapalających, przeznaczonych dla bezbronnych mieszkańców Londynu, na przybrzeżnych łąkach; nie zrobiły krzywdy nawet pasącym się tam owcom."

— W jakim stosunku zwykle panowie walczycie?

— "Trudno to określić. Ciągnie nas dużo. Niejednokrotnie jednak zdarza się, że w kilku lub kilkunastu, gdy lecimy pierwsi, rzucamy się nawet na 300 samolotów, nie czekając aż nadlecą inni i rozbijamy im szyki."

—Jak się Pan czuje w dywizjonie angielskim.

—"Bardzo dobrze. Piloci angielscy są bardzo dobrymi kolegami, ogromnie mili, sympatyczni a przy tym doświadczeni, zacięci i dzielni myśliwcy."

Po dekoracji Generał angielski miał do dywizjonu krótkie przemówienie, w którym podkreślił, że lotnicy polscy dzielnie bili się w Polsce, następnie dzielnie walczyli we Francji, a gdy koledzy Francuzi w walce odpadli, polscy piloci znaleźli się w jednym szeregu z pilotami angielskimi, z czego Anglicy są szczęśliwi, a piloci polscy i w Anglii pokazali w walce swoją wysoką klasę.

Słynny pilot zestrzelił 10 samolotów stwierdzonych i 8 prawdopodobnych, razem 18 samolotów. Od sześciu tygodni nie lata, mając złamaną prawą rękę przez . . . korbę, którą nieostrożnie uruchamiał silnik samochodu.

Koledzy piloci Anglicy przezywają go—"*Lovely attak.*"

Istotnie Kochany Chłopak. Życzmy mu wszyscy: "złam kark," napewno dożyje 100 lat.

Henryk Dobrowolski

TRAFALGAR

W przełomowych dla dalszego biegu historii, nie tylko Europy, ale świata chwilach—nie czas skierowywać myśl i uwagę na odleglejsze, już minione, choćby pełne chwały i triumfu wypadki, należące już do historii. Tak myśli napewno społeczeństwo Zjednoczonego Królestwa, jeśli to dotyczy jego historii, która jest mu znana, bo jego własna. Dlatego dzień 5 października, dzień 135 letniej rocznicy zwycięstwa pod Trafalgarem, minął bez specjalnej uwagi.

Natomiast dla nas, przybyszów, korzystających z gościnności mieszkańców tego kraju, złączonych wiecznym z nimi sojuszem, sojuszem krwi już przelanej i przelewanej w dalszym ciągu i dla nas, którzy dla wspólnej sprawy obecnie toczącej się wojny, postawili pierwsi najwyższą stawkę: orężnej rozprawy z wrogiem—dni chwały i triumfu naszych sojuszników nie mogą pozostać jeno dźwiękiem i przejść bez uwagi. Zwłaszcza, że zapasy orężne wówczas, nasuwają wiele podobieństw, cennych i pouczających. Rok 1805, jego wiosna, lato i wczesna jesień, to bodaj tak jak dziś rok 1940, rok przygotowywania inwazji na wyspy brytyjskie z jednej i oczekiwania jej z drugiej strony.

W Boulogne sur Mer Napoleon gromadzi wojsko, gromadzi okręty i barki dla przeprawienia go na wyspy pozbawione lądowej obrony. Chce dosięgnąć i zniszczyć tego wroga, który jes dlań najgroźniejszy, który panuje na kontynentach i oceanach świata i który kieruje moralnie i w dużym stopniu finansowo koalicjami w Europie, sprzeciwiającymi się orężnie, choć jak dotąd bez powodzenia na lądzie, dyktatorskim zamiarom Korsykanina.

Jedynie dwa czynniki stają na przeszkodzie powodzeniu inwazji: flota brytyjska i pogoda.

Genialną myślą manewru, udaje się Napoleonowi wywieść w pole Anglików, czasowo odsunąć flotę, czuwającą w Kanale. Flota francuska jakościowo gorsza od floty brytyjskiej, bo zdekonstruowana moralnie i materialnie przez wielką rewolucję, opuszcza porty francuskie i sprzymierzonej wówczas z Francją Hiszpanii i płynie oceanem w kierunku Indyj Zachodnich, wywabiając za sobą flotę brytyjską z Kanału.

Daremny pościg dwóch flot trwa szereg dni, Kanał jest wolny lecz inwazja nie dochodzi do skutku, bo przygotowania jeszcze nie całkiem gotowe i pogoda nieodpowiednia dla płaskodennych barek, którymi mają być przerzucone przez kanał wojska inwazyjne.

Gdy już wszystko gotowe i pogoda się ustala—w Kanale pojawia się znowu flota angielska, dowodzona przez Nelsona. Francuski admirał Villeneuve, myśląc, że spełnił swe zadanie wrócił do portu hiszpańskiego Cadyx, a Nelson po daremnej pogoni za flotą francuską po Oceanie, wrócił na wody wschodniego wybrzeża Anglii.

Napoleon widząc w Kanale okręty floty brytyjskiej, zarzuca plan inwazji i szybko kieruje swą myśl i wojska ku kampanii lądowej, pełnej triumfów kampanii 1806 roku.

Admirał Villeneuve, dowodzący flotą francuską i sprzymierzoną hiszpańską, stawszy się przyczyną niepowodzenia tak wielkich zamysłów swego władcy, chce zrehabilitować siebie i swą flotę, opuszcza dobrze zabezpieczoną bazę w Cadyxie i wychodzi w morze na czele trzydziestu kilku okrętów liniowych (33).

Nelson na czele mniej więcej tej samej ilości okrętów (29) czuwa i w dniu 5 października na wysokości przylądka Trafalgar następuje spotkanie flot. Wywiązuje się bitwa, w której Nelson na czele dobrze rozumiejących go i pojmujących jego myśl manewru dowódców okrętów, atakuje z zastosowaniem swej taktyki, wypróbowanej już poprzednio (Aboukir) i polegającej na zaatakowaniu większością swych sił części floty nieprzyjacielskiej i wiązaniem jej reszty, aby nie mogła, przy ówczesnych trudnościach manewru i zależności od wiatru przyjść z pomocą zaatakowanej części.

Zaciętość walki po obydwu stronach była wielka, bitwa toczyła się na bliskich odległościach i okręty chociaż drewniane musiały otrzymać duże ilości pocisków przeciwnika, aby stracić umasztowanie i ponieść takie uszkodzenia któreby spowodowały zatonięcie okrętu.

Przeważnie trafienia w komory prochowe powodowały ich wybuch i stratę okrętu. Na marsach masztowych t.j. platformach urządzane były specjalne strzelnice, z których strzelcy wyborowi przy zbliżeniu się okrętu prawie do burty przeciwnika, prażyli celnym ogniem wybrane cele na jego pokładzie.

Zwycięstwo było już pewne dla Anglików, ich okręt flagowy "Victory" walczył z francuskim prawie burta o burtę. Nelson bez oka i jednej ręki ubrany ówczesnym zwyczajem w strój galowy, wydawał rozkazy, stojąc na pokładzie "Victory," gdy kula strzelca wykazowego z marsu francuskiego okrętu przeszyła jego epolet i ugrzęzła w stosie pacierzowym. Nelson padł śmiertelnie raniony i wyzionął ducha w swojej kabinie otrzymawszy poprzednio meldunek, że zwycięstwo jest już niewątpliwe.

Okręt "Victory" stojący do dziś dnia w jednym z głównych portów brytyjskich jako hulk, jest utrzymywany ciągle w odpowiednim stanie a na jego pokładzie, w miejscu, gdzie padł Nelson jest wmurowana tablica pamiątkowa, przed którą wchodzący na pokład tego okrętu oddają hołd wielkiemu bohaterowi Wielkiej Brytanii.

Zwycięstwo floty brytyjskiej było druzgoczące. Zaledwie kilka okrętów francuskich i hiszpańskich uszło zguby. Napoleon przestał posiadać flotę wojenną w swej dyspozycji. Jego główny przeciwnik Wielka Brytania—była już dlań nieosięgalna. Próba podjęta przez Napoleona przy końcu kariery aby wygłodzić Anglię przez t.zw. "system kontynentalny," polegający na blokadzie Anglii przez niedopuszczanie do niej wywozu z Europy—nie powiodła się.

Przez szereg lat po Trafalgarze świeci jeszcze i błyszczy gwiazda Napoleona na kontynencie ale los jego przesądził Trafalgar, gdzie zniknęła flota francuska i z nią wszelka nadzieja pobicia głównego przeciwnika.

Obecnie, minął już 5 październik, data, przed którą jeszcze zarzucił Napoleon myśl o inwazji. Nie odbył się nowoczesny Trafalgar, bo odbyć się nie mógł. Stosunek floty niemieckiej do brytyjskiej, jest tego rodzaju, na korzyść floty brytyjskiej, że nawet do spotkania dwóch flot przyjść nie może. Ścierają się tylko poszczególne jednostki, których spotkanie jest dla obydwu stron zaskoczeniem. Jeżeli chodzi o okręty nawodne, to jakość i duch obydwu marynarek przejawił się dobitnie w walce trzech lekkich krążowników angielskich z doskonale uzbrojonym i opancerzonym, rozporządzającym doskonałą szybkością t.zw. pancernikiem kieszonkowym niemieckim "Graf Spee" u ujścia La Plata.

Zresztą walczą ze strony niemieckiej tylko okręty podwodne, te jednostki, które działać mogą niewidoczne dla przeciwnika, tak jak samoloty niemieckie opuszczają swe bomby na chybił trafił z olbrzymich wysokości z za chmur, deszczu i mgły.

Niejaka niepewność z początku wojny co do roli lotnictwa w walce z flotą przestała istnieć, stało się już pewnikiem, że flota była, jest i będzie trwać mimo najgroźniej wyglądających zapewnień przeciwnika, że zniszczy ją przez lotnictwo. Mimo bolesnych ukąszeń mimo strat, zwłaszcza wpośród małych, lekkich okrętów spowodowanych przez lotnictwo, miny i okręty podwodne—strat, które z nawiązką zostały już wyrównane—strzeże Wysp Brytyjskich, prócz lotnictwa i wojska, ogromna, pełna tradycji i chwały jej flota wojenna—*Royal Navy.*

Kazimierz Mora



Kolumna Nelsona na Trafalgar Square w Londynie

Po pobycie Churchilla w obozach polskich

Byłem niezmiernie szczęśliwy mogąc osobiście zetknąć się z polskimi oddziałami w Szkocji. Ich dziarska i zdecydowana postawa upewniła mnie w przekonaniu, że gdy nadejdzie chwila działania, stwierdzą oni czynem sławę dzielnych i nieustraszonych żołnierzy, zdobytą w Polsce, Francji i Norwegii.

Polska przelała swą krew dla tej samej sprawy Wolności i Prawa, o którą my obecnie walczymy w Anglii. Podziwiamy jej synów, którzy w godzinie swych nieszczęść, bez względu na to gdzie się znajdują, okazują niezłomną wolę walki, aż do całkowitego zwycięstwa nad wrogiem. Mimo, że Ojczyzna ich została stratowana przez najeźdźcę, najgłębsze pragnienia narodu polskiego, który tak długo, z takim poczuciem honoru i obowiązku walczył za swój byt przyrodzony i niepodległość, zostaną spełnione.

Winston Churchill

Do Jego Ekscelencji Generała Sikorskiego.

BALLADA O MAC-ALLENIE

Wiersz niniejszy nawiązuje do wspomnienia regimentów szkockich, które były w służbie polskiej, w szczególności pod komendą Janusza Radziwiłła w w. XVII i brały udział w walkach z Moskwą. Wielu tych Szkotów osiadło następnie w Polsce i wsiąkło w społeczeństwo polskie.

Kędy się z brzezin srebrne liście sypią,
Mac-Allen jedzie na gniadym koniku,
jedzie i przed się spoziera.
Za nim, z muszkietem i w sfornym ordynku,
regiment idzie na bój bez spoczynku,
gotów za króla umierać.

Choć przez trzy ćwierci lafa nie płacona,
regiment służby w wierności dokona;
może mu hetman zawierzać.
Innym—honory, purpury, zaszczyty,
rodzonym synom tej Rzeczpospolitej,
a Szkotom—honor żołnierza.

Więc czemuś taki smutny, Mac-Allenie,
gdy wiesz, że ciebie i regiment w cenie
mają i swoi, i obcy?
—Ach, bo nie dosyć mi boju i chleba!
Bo gór mi trzeba i mgławego trzeba
nieba rodzinnej mej Szkocji!

A czy pamiętasz, młody pułkowniku,
kontusik biały i w tym kontusiku
błękitno-oką panienkę?
Czyliż nie miała, jak brzoza, warkoczy
i nie patrzyło-ż niebo z mgławych oczu,
gdyś w tańcu brał ją za rękę? . . .

. . . Wtem strzał potoczy się głucho nad polem.
Carska konnica gęstym karakolem
zajeżdża Szkotom na drogę.
—F o r w a r d! Hej, dzieci! Żwawo za muszkiety!
Lonty na zapał, krzesiwo z kalety—
i halabardą we wroga! . . .

Cztery godziny ogniem się opędzał;
cztery godziny śmierć, moskiewska jędza,
im klekotała kulami.
Przez godzin cztery w zwartym czworoboku
na piędź wrogowi nie ustąpił kroku—
tak bił się z septentrionami!

A na odwieczerz książę-wojewoda
Mac-Allenowi z konia rękę poda
i rzecze:—Zacny młodzieńcze!
Czym ci odwdzięczym? Łupami czy złotem? . . .
—Zaniechaj, panie . . . Gdy zjedziem z powrotem,
jest ktoś, co wszystko odwdzięczy. . . .

Jest ktoś, o liczku, jako śniegi czyste,
o oczach, jako jeziora rzęsiste,
co za mną, obcym—a płacze. . . .
. . . .
I pocieszony został w cudzej stronie:
patrząc w błękitnych oczu mgławe tonie,
ojczyznę swoją zobaczył.

Antoni Bogusławski

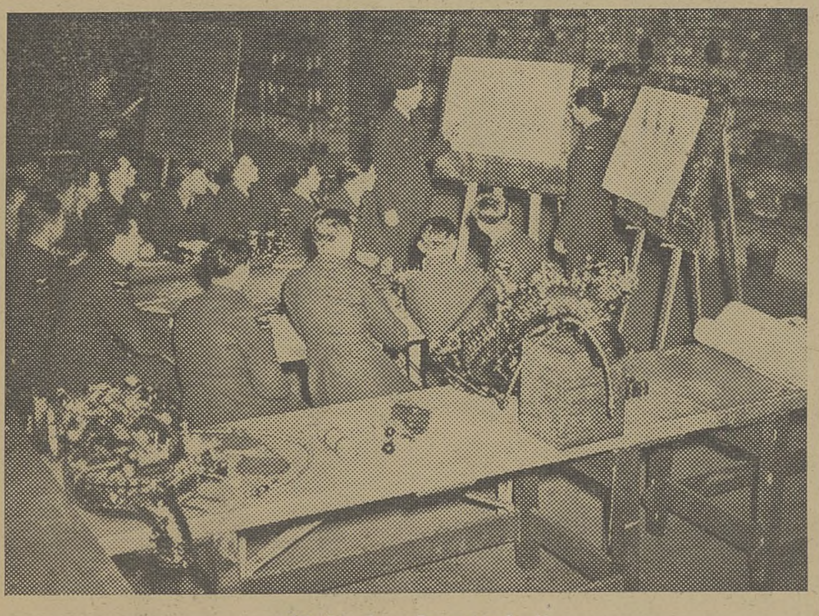


Rysował Bolesław Leitgeber

Jak żyją, pracują i walczą lotnicy polscy w Anglii



Wykład o uzbrojeniu



Wykład o konstrukcji

II*

Docieramy do lotniska, na którym znajduje się nasz dyon myśliwski imienia Tadeusza Kościuszki. Piloci po ciężkich walkach w obronie Londynu przed nalotami samolotów bombowych wroga we wrześniu—odpoczywają. Odpoczywają psychicznie i nerwowo, pełnią bowiem normalną służbę. Czas pogotowia i alarmów spędzają na ziemi, nie tocząc walk w powietrzu, bo nieprzyjaciel tu rzadko się pokazuje. Poprzednio był w tej miejscowości inny dyon polski, który mimo rzadkich nalotów zestrzelił 22 samoloty i prawdopodobnie 16 innych. Obecnie zmienił on dyon imienia Tadeusza Kościuszki, lecz masowe naloty na Londyn ustały i piloci z żalem powiadają: "nie mamy szczęścia, samoloty wroga latają w pojedynkę w chmurach."

Tablica zwycięstw dyonu kościuszkowskiego, przedstawia się tak:

Data	Ilość zestrzelonych samolotów	Ilość zestrzelonych prawdopodobnych
30.VIII	1	—
31.VIII	4	2
2.IX	2	2
3.IX	1	—
5.IX	7	2
6.IX	7	1
7.IX	14	4
9.IX	4	1
11.IX	17	1
15.IX	16	1
17.IX	1	—
18.IX	2	—
23.IX	2	1
26.IX	13	1
27.IX	15	1
30.IX	6½	—
1.X	1	1
5.X	9	3
7.X	4	—
Razem	126½	21

Piloci dyonu imienia Tadeusza Kościuszki pierwsi stwierdzili i zameldowali, że samoloty myśliwskie wroga zabierają ze sobą po jednej bombie 50 klgr. i w ten sposób chcą zastąpić pracę samolotów bombowych, bo dzięki małości i szybkości łatwiej mogą uciec i uchylić się przed walką, aniżeli samoloty bombowe. Stwierdzili również, że wróg chwyta się podstępu i końce skrzydeł Me. maluje w ten sposób, by linia ich była podobna do linii "Heryka-nów" i "Spitfajrów," następnie, że malują na swoich skrzydłach koła o kolorach angielskich, oraz spód samolotu na żółto, tak, jak są malowane angielskie samoloty szkolne. Z tego możemy wnioskować, że straszliwa armada powietrzna Göringa, nie jest wcale potęgą, że nie stać jej na otwartą walkę, stara się więc imać podstępów, co jest w zwyczaju tego wroga.

Żegnamy słynny już na cały świat 303 Dyon Polski, czas ucieka, a mamy jeszcze odwiedzić szereg lotnisk, na których stacjonują jednostki polskie.

Po jakimś czasie jesteśmy z wizytą w dyonie, który kończy organizację i szkolenie na myśliwskich samolotach nocnych. Tu również spotykamy się z serdecznym przyjęciem. Dobre są humory i dobry duch. Chcieliby już walczyć.

Na samolocie tego typu walczy głównie strzelec, gdyż stanowisko jego jest wyposażone w bogate źródło ognia, w postaci czterech karabinów maszynowych, z których można strzelać we wszystkich kierunkach. Piloci są tym trochę zmartwieni, bo nie są tak wyposażeni i zadanie ich polega na zajęciu położenia, z którego najlepiej się strzela strzelcowi. Oczywiście, że ten mały żal pilotów wypływa z chęci bezpośredniej walki. Wszyscy bowiem lotnicy rozumieją dobrze, że w lotnictwie jeszcze więcej, niż gdziekolwiek obowiązuje ścisłe współdziałanie, wtedy wynik w pracy i walce jest zupełny. Wobec dzisiejszego postępu techniki w lotnictwie i potężnego uzbrojenia samolotów wyczyny poszczególnych jednostek, jak się przedtym nazywało "asów" są małymi epizodami na tle walki ogólnej w powietrzu, w walce tego obowiązuje dziś ścisłe współdziałanie załóg i samolotów.

Popasamy tu niedługo, chcemy jeszcze dziś odwiedzić innych.

Lotnisko następne jest niedaleko, o kilkadziesiąt mil zaledwie. Na wysokim jego maszcie pod angielską flagą lotniczą łopocze również dumnie i flaga polska. Tak jest na wszystkich lotniskach w Anglii, na których są polskie jednostki lotnicze, względnie przeszkalają się polscy lotnicy. Polska i Anglią są sojusznikami równoprawnymi. Pozycję tę zawdzięczamy głównie męstwu żołnierza polskiego i niezłomnej woli walki wszystkich Polaków.

Jak na innych lotniskach, tak samo i na tym praca wre. Jeszcze nie walczą, ale pełni są jak najlepszej nadziei, że wkrótce walczyć będą. Przyjmują nas serdecznie i nie możemy wymówić się od spożycia posiłku.

Pogoda dopisuje. Słońce nie tylko świeci, ale i przygrzewa. Trzeba się żegnać i jechać w dalszą drogę.

Pod wieczór pogoda się zmienia i rosi deszcz. Zatrzymujemy się w małym miasteczku na nocleg. Hotel, w którym zamierzaliśmy się zatrzymać—zarekwirowany dla potrzeb wojska i zamieniony na koszary. Szukamy innego. Znajdujemy, ale miejsc wolnych nie ma. Gospodarz dowiedziawszy się, że jesteśmy Polakami, robi starania i otrzymujemy pokoje.

Nazajutrz docieramy do innego obozu. Nazwa i pojęcie obozu w tym wypadku nie odpowiada rzeczywistości. Wszyscy bowiem lotnicy, bez wyjątku wieku i stapni, mieszkają w pensjonatach, w których również mają całodzienne utrzymanie. Wszyscy chwalą sobie warunki bytu w obozie, ale jednocześnie narzekają.

Narzekają, że muszą jeszcze w nim pozostać, wtedy, gdy ich koledzy już walczą i pracują, względnie do walki się przygotowują. Żale te są zupełnie zrozumiałe i usprawiedliwione, bo w każdym bije serce lotnicze, z drugiej jednak strony największe możliwości techniczne i organizacyjne, nawet takiej potęgi jak Anglia, nie mogą wchłonąć od razu wszystkich i dać odpowiedniego pola pracy lotniczej i walki od razu wszystkim lotnikom, tym bardziej, że lotników polskich jest w Anglii bardzo dużo i przebywają jeszcze i w innych obozach lotniczych. Rozumieją to wszyscy i starają się niecierpliwość swoją pohamować, a tymczasem przygotowywać się do przyszłych zadań i wykorzystywać czas z pożytkiem dla siebie i sprawy Polski.

Zorganizowanie trybu życia wojskowego w takich warunkach nie jest rzeczą łatwą tym bardziej, że miasto jest duże i rozsiadło się na przestrzeni kilku dziesięciu kilometrów kwadratowych. Tym nie mniej jednak życie jest zorganizowane, a praca wre.

Poza zajęciami obowiązkowymi, każdy oddaje się z zamiłowaniem jakiejś dziedzinie, więc sport, czynny udział w życiu kulturalnym, nauka języka angielskiego i inne. O pracy w dziedzinie kulturalnej świadczy gazetka obozowa "Wiadomości ze świata" wychodząca w nakładzie 1000 egzemplarzy i utrzymująca się z prenumeraty i dobrowolnych składek lotników. Poziom literacki, jak i treść gazetki obozowej są wysokie.

Urządzane przedstawienia amatorskie cieszą się ogromnym powodzeniem i uznaniem nie tylko lotników, lecz i miejscowej ludności, która jak wszędzie, tak i tu odnosi się serdecznie do Polaków i do sprawy polskiej. Dużym powodzeniem cieszy się chór.

Ostatnio jest w realizacji przez P.C.K. otwarcie ogniska polskiego dla wszystkich pod nazwą "Nasz Dom." Ma być wyposażony nie tylko w gry, radio, gazety, bibliotekę, bufet, kuchnię, lecz również mają się odbywać w nim występy i popisy artystyczne, koncerty muzyczne i t.p. "Nasz Dom" ma być ośrodkiem towarzysko-kulturalnym. Pole do popisów będą miały kółka naukowe, literackie, artystyczne, muzyczne i inne. Mają się w nim odbywać prelekcje na interesujące wszystkich zagadnienia i omawianie działań wojennych, na podstawie wiadomości prasowych. Są w projekcie i wystawy w celu zaznajamiania gości angielskich z Polską. Wszyscy głęboko wierzą, że P.C.K. organizację "Naszego Domu" szybko przeprowadzi.

Dziedzina sportów notuje szereg sukcesów miejscowych.

Popasamy tu stosunkowo długo, bo przez całą dobę i następny dopiero dzień ruszamy w dalszą drogę. Wyjeżdżamy gdy słońce jest już dość wysoko. Zaraz za miastem chwyta nas mgła, tak, że samochód posuwa się bardzo powoli. Słońce z trudem przebija się przez gęste zwały mgły i wygląda raczej jak księżyc, podnoszący się z oparów wieczornych.

Szosa biegnie zygzakami. Biało malowane grube linie na środku jezdni są wielkim udogodnieniem dla automobilistów, przyczyniają się do zmniejszenia katastrof, gdyż każdy kierowca stara się wprost instynktownie nie przekroczyć tej linii, szczególnie ważne to jest w terenie falistym, w którym na ostrych wirażach nie widać zakrętu, a o zderzenie jest łatwo.

Wczasie dalszej drogi mgła przed nami ustępuje, lecz chmury kłębią się na niebie. Słońce błyśnie, uśmiechnie się, to znów się chowa.

Spotykamy stare domki, kryte słomą, lecz w sposób odmienny jak w Polsce, zupełnie gładko. Są schludne i bardzo miłe dla oka. Wiele przypomina nam po drodze Polskę.

Samochód nasz mknie wąską drogą śród parowów, drogą o nagłych i kwałtownych skrętach i biała linia chroni przed zderzeniem się z samochodami często wyłaniającymi się nagle w pędzie z za zakrętów nieledwie o krok przed nami.

Około południa następnego dnia jesteśmy na lotnisku. Przyjmują nas bardzo serdecznie. Praca i tu wre. Pracują i przygotowują się z zapałem do akcji bojowej. Ogromnie są zżyci z sobą i stanowią jakby małą rodzinę. Śpieszy nam się do Londynu, gościmy jednak dłużej.

Wracamy do dumnej stolicy Imperjum świata, Londynu, drogą biegnącą przeważnie śród lasów liściastych, okrytych w tej porze złotawymi liśćmi. Rozmyślamy o tym, co widzieliśmy i czuliśmy śród żołnierzy noszących Orła Białego w otoczeniu skrzydeł dawnej polskiej husarii. Istotnie lotnicy polscy to spadkobiercy w lwiej części tradycji polskich husarzy, którzy niegdyś, zakuci w stal, na rączych koniach parli jak wicher z kopią złożoną w pół ucha konia na wrogie zastępy i kładli je pokotem. Husarze polscy nigdy nie liczyli wroga stojącego przed nimi, liczyli później trupy nieprzyjaciół poległych. Tak było pod Kircholmem, Kłuszynem i w wielu innych bitwach.



Ćwiczenie z modelem bomby

Lotnicy polscy też nigdy nie pytają i nie liczą, ile jest samolotów wroga w powietrzu, pytają jeno, gdzie i w jakim kierunku i już przeciw nim gonią, a dognawszy—atakują. Lotnicy polscy szykując się na wyprawę bombową nie pytają, ile armat i reflektorów, broni celu lecz pytają dokładnie o jego położenie i dokładnie w ten cel trafiają. Czekają na Berlin. . . . Pragną zapłaciź za Warszawę, zapłacić hojnie. . . .

Lotnicy nasi są, jak ci z pod Somosierry, jak Ci z łodzi podwodnej "Orzeł," jak Ci co zginęli we Francji, nie chcąc kapitulować wraz z Francuzami, lotnicy nasi to są Polacy, a Polacy zwykli od dawna stawiać czoło i bić wroga nawet, gdy miał dziesięciokrotną przewagę. Lotnicy nasi kochają gorąco Polskę i dziś swą pracą i walką wplatają dalsze wawrzyny dla ostatecznego zwycięstwa i chwały Polski.

Lotnicy polscy to mała rodzina—dużej rodziny Polaków.

Półkozic



Raport lotnika polskiego po locie

* Por nr. 35 "Polski Walczącej."

Z życia obozów

Zmieniamy miejsce postoju

Od dawna już krążyły głuche wieści wśród zmotoryzowanych kawalerzystów 10 B.K., że zanosi się na wymarsz z uroczego lordowskiego parku, w którym obóz nasz spędził pierwsze miesiące na wyspie brytyjskiej i gdzie dokonała się wielka praca reorganizacji, uzbrajania i szkolenia.

Chociaż więc żołnierze zadomowili się wspaniale wśród gościnnych Szkotów, wiadomość o zmianie miejsca postoju przyjęto radośnie przede wszystkiem dlatego, że była ona równocześnie zapowiedzią objęcia obrony odcinka i przesunięcia wsławionej w "polskim wrześniu" brygady wraz z innymi oddziałami wojska polskiego do pierwszej linii frontu. Spełnić się miało to, co już dawnej zapowiedział Wódz Naczelny.

Normalny tok zajęć żołnierskich został oczywiście bez zmiany, a jednak tempo życia obozowego uległo jakby przyśpieszeniu; zapanowała atmosfera przedwyjazdowa. Jaki taki już na kilka dni przed terminem wyjazdu uważnie układał manatki, aby jak najmniej miejsca zabierały, a popołudniami odwiedzał gościnne domy górników żegnając się "na raty" z licznymi znajomymi. Kwatermistrze, O.R. ruszyli oczywiście wcześniej, a reszta bractwa trwała w pogotowiu marszowym, klnąc od serca psią pogodę, która zepsuła ostatnie dni pobytu w uroczym, małym miasteczku.

Na miasteczko zaś spadł smutek wielki, szczególnie płeć piękna, jako że do wszelkich wzruszeń bardziej skłonna, popłakiwała na temat odejścia "our Polish soldiers." Pocieszanie, tłumaczenie, że tak być musi i taki właśnie jest los żołnierza, zajęło wielu zmotoryzowanym ułanom sporo godzin przy gościnnym szkockim kominku.

Dzień wyjazdu był, rzecz jasna, trzymany dość długo w tajemnicy, ale można było wyczuć doskonale, że się zbliża, albowiem miasto ogołocone zostało z papierosów, i tytoniu, które wykupywano masowo, aby "our soldiers" nie byli przypadkiem pozbawieni wonnego paliwa w drodze na nowe miejsce pobytu. Podobnie sklepikarze handlujący wszelkiego rodzaju rzeczami, nadającymi się na "souveniry" od serc kochających porobili w ostatnim przedwymarszowym tygodniu "kokosowe interesy."

Aż nadszedł dzień odjazdu. Niebo tego ranka zapatrzyło się widocznie na wiele mieszkanek naszego miasteczka, bo płakało przez całą noc i ranek rzęsistymi kroplami jesiennego deszczu. Mgła pokrywała park i wiatr targał obmokłe "ściany" namiotów, a obdarte z liści drzewa trzęsły nad nimi z politowaniem konarami. Obóz opustoszał. Tu i ówdzie jeszcze pozostał jakiś mały oddział, dla którego termin odjazdu jeszcze nie został wyznaczony, ale poza tym pustka i melancholia przechadzały się po rozległych terenach magnackiej posiadłości.

Za to droga wiodąca do małej stacyjki kolejowej w pobliżu obozu zaroiła się pieszym i zmotoryzowanym tłumem żołnierskim. Przy samym zaś budynku czekał gościnny "Scottish people" różnej płci i wieku, aby ostatecznie pożegnać odjeżdżających wojaków. Toboły i sprzęt wszelaki załadowano sprawnie i szybko, można więc było jeszcze kilka chwil spędzić ze znajomymi. Okazało się przy tej sposobności, że żołnierze przyswoili sobie wcale dobrze mowę tubylców, albowiem rozmowy szły nader gładko z niewielką tylko pomocą "migi." Czas płynął szybko i podoficerowie dali hasło do wsiadania.

Myślę, że gdyby władze kolejowe przeczuły kiedykolwiek, co się na tej małej stacyjce szkockiej dziać będzie, kto wie, czy nie kazały by wywiesić w miejscu widocznym dużej tablicy z napisem "*No Cmoking.*" Ale zakazu nie było, a szkockie matki i ojcowie, towarzyszący córkom sami byli bardzo rozrzewnieni, więc dziewoje padały chłopakom w ramiona i szelest pocałunków towarzyszył zapewnieniom o trwałej pamięci i podziękowaniom za okazaną życzliwość. Bywało i tak, że do niektórych po dwie i po trzy panny podchodziły z pożegnalnym pocałunkiem, a koledzy głośnym śmiechem demaskowali różne "ciche wody," których podboje dopiero teraz ujawniły się na oczach całego wojska.

Nareszcie długi wąż pociągu drgnął i ruszył z miejsca; wionęły chusteczki panieńskimi łzami zroszone, skrzyżowało się polskie: "do widzenia" ze szkockim: "cheerio" i po chwili cywilny tłum wracał do miasteczka. Przy bramie parkowej odbyło się oficjalne pożegnanie, a dowódca przekazał miastu skromny, ale ładny pomniczek-souvenir, upamiętniający postój 10 Brygady Kawalerii Armii Polskiej.

Odeszli żołnierze, pozostało ciche, spokojne miasteczko osamotnione, podobnie jak kilka innych w okolicy. Popłyną stąd zapewne na nowe miejsce postoju listy serdeczne podtrzymujące zadzierzgnięte związki przyjaźni. Popłyną życzenia dla "our Polish soldiers," którzy w drodze do własnej wolnej Ojczyzny z bronią w ręku czuwają na straży ziemi szkockiej.

Ludwik Bojczuk



Marynarze jednego z okrętów polskich, współdziałających z Flotą W. Brytanii

Drodzy Koledzy Marynarze,

Piszemy do Was list w imieniu własnym i Czytelników "Polski Walczącej" z gorącym wezwaniem, abyście przesłali wiadomości o Waszym życiu, Waszych doświadczeniach i walkach. Ta strona obozowa naszego pisma, jak i ono całe pełne są wiadomości z życia piechoty, spieszonej kawalerii, cekaemów, i lotników. Tylko Wy tu świecicie nieobecnością, Wy, którzy pierwsi zaczęliście świecić męstwem i pracować na wspólne nasze dobre imię.

Marynarze Polscy dajcie znać o sobie!

Redakcja

Powódź, czyli Robinsonowie wodni

Okolice górzystej Szkocji. Wieczór gra wszelkimi barwami zachodzącego słońca. Jest rozlegle, przestronnie, szeroko. Radośnie pobekują pasące się owce.

Po wieczorowej zbiórce, po rozdziale służb i obowiązków, kapitan dowódca wyraża przekonanie, że wprawdzie trzeba być zawsze gotowym na wszystko, ale—niespodzianek nie przewiduje. . . .

Brać karabiniarska po conamiotowym omówieniu aktualności dnia—zasnęła snem kamiennym, żołnierskim snem naszego tułaczego wojska. . . . Temu i owemu śnił się dom i rodzina, pozostawione za górami, za morzami. Świadkiem sennych majaczeń: płachty namiotowe; twarde wezgłowie campingowego miejsca postoju i cisza, zwolna ogarniająca obóz; służbowy, który nie śpi i czuwa. . . .

Tymczasem w górze pogoda się popsuła. Ciemne chmury zatarły rożek miesiąca. Zasmarowały nieprzeniknionością gwiazdy. I lunął deszcz na długie, długie godziny. Spływał szmerliwą, rytmiczną muzyką. Kołysał do snu głębszego nasze conocne tęsknoty. I stał się wreszcie nieoczekiwanym sprawcą naszego nagłego o wczesnych rannych godzinach opuszczenia rejonu zakwaterowania.

Budzę się zwykle grubo wcześniej przed pobudką. Tak mi jakoś dziwnie układa się przebudzenie. Budzę się i słyszę jakieś głośniejsze rozmowy w sąsiednich namiotach. Nie na tyle rozbudzony, by móc należycie ocenić rodzaj tych rozmów, nie zwracam na nie zbytniej uwagi, i leżąc drzemię,—w oczekiwaniu sakramentalnej, magicznej formuły:

— Pobudka, pobudka, wstawaj!

Cieszę się tylko, że zmniejszone są uderzenia deszczu. Że mniejsze tempo kropel. Mniejsze, niźli onegdaj deszczysko waliło, siąpiąc a siąpiąc. Siąpiąc i przybierając na tempie.

Kiedy tak leżę—rozsuwają się wejściowe płachty namiotu, wsącza się żółta lampka kobolda, i słychać głos szefa:

— U nich wody nie ma. . .

Po pewnym niewielkim odstępie czasu, gdy tak leżę i drzemię, poczyna mnie trochę denerwować jakiś niecodziennie miarowy bulgot. Co to? Nie wiem co. Naraz od nóg poczyna mnie przejmować jakieś dziwaczne zimno. Diabli wiedzą co to. Cholera nadała z tą mgłą. Dzień pewnie będzie gorący, no, za to ranek zimny, oj, jak zimny. Nie przeciwdziała temu nawet i poranna gimnastyka.

Bulgot się zwiększa. Głosy poza namiotem też. Jakieś chlupoty. Najwyraźniej chlupoty. Wyciągam ręce w bok i przed siebie. Najwyraźniej woda. Woda! ba, ale skąd? Przecież się nie urodziła wewnątrz namiotu. Przecież nie trysnęło jej źródło pod bucefalskim ciężarem naszego Wielkiego Fryderyka.

Robię ruch w namiocie. Gadam:

— Panie Fryderyku, jakaś niewyraźna sytuacja. Popróbuję zapalić świece zapałkami. . .

Odpowiada mi rybnicko-tarnogórski bas w rodzaju "hm" względnie "uhu."

Usiłuję zapalić zapałki. Daje się. Lecz świece ledwo, ledwo. Mokre.

Wysmyknął z dwu świec promień złotego światła. Cóż widzę? Jestem jedyną wyspą w namiocie. Zapasowe buty swobodnie sobie pod stołem żeglują. Przygotowana do pralni bielizna —wysterka z wody niczem zatopiona Atlantyda. Koce moje, orędownicy ciepłego snu—najwyraźniej podmakają. "Komoroszczak," i "Piskowoszczak" niczym dwa okazowe namiotowe pstrągi, leżą w zacisznie wilgotnym rowku między dwoma zamokłymi siennikami. Szczęśliwiec ten Janko Muzykant, że poszedł niedawno na izbę chorych.

Na alarmowy zew porusza się nasz Fryderyk Wielki, czyniąc olbrzymie fale wewnątrz namiotu. Budzi się też życiowy miłośnik snu, komendant Wicek:

— A zaś onych teroski woda podlała!

Szybko, najszybciej jak tylko można pomyśleć i wyobrazić sobie, wyłazimy za namiot. Mimo chłodu, przejmującego chłodu poranka. Mimo miarowego siąpania szkockiego kapuśniaka. . . .

Cóż za widok przedstawia się oczom naszym. Powódź podchodzi nieomal pod "Olimp." Władza kompanii—zalana. Pluton pierwszy unurzany. Drugi też. Trzeci z furią atakowany. Jedynie niezwalczona firankowa reduta plutonu broni towarzyszącej.

Wyobrażam sobie, co to za popłoch wśród pstrągów, których rezydencją była sąsiednia rzeczka, napierająca tak zawadiacko z dobrodziejstwem swego inwentarza na nasz rejon zakwaterowania. Popłoch popłochem, ale i szerokie możliwości dla samychże pstrągów. Na przykład, gdy tak sobie zakochany pstrąg miast swej rybiej narzeczonej, pocałuje w marudzącą łydkę Prokuratora liniowego, bądź chociażby i samego "podchorążego Mielkę."

Zarządzamy natychmiast ewakuację, i wielokrotnie brodząc po kolana—przenosimy żołnierski dobytek wiary karabiniarskiej na "Olimp." Po przeniesieniu samego dobytku—taskamy nasz do gruntu przemoczony namiot. Oj, ciężki! Moglibyśmy milion razy być ukąpani w powodzi; miliard namiotów możemy przenieść, byle tylko dostać w swe ręce Hitlera i jego krwawą bandę zbirów; byle móc do Polski dojść drogą wiodącą prosto przez ziemie Rzeszy Niemieckiej. . . .

Po uporaniu się z przenosinami przemoczonych płacht namiotowych—wnet na wyniosłym szczycie "Olimpu" ponownie rozbijamy nasz namiot i ponownie przygotowujemy się do wypróbowanej namiotowej egzystencji. Woda w butach chlupie. Mundury całkiem mokre. A my sobie niefrasobliwie, jakby nigdy nic—odwalamy piosenkę za piosenką. Ekipy namiotowe przy przenoszeniu manatków i płacht prześcigają się w żartach i konceptach między sobą. Nasz megafonista, recte Poseł, o najdonośniejszym głosie w baonie —po prostu żywiołowo ryczy jak Wezuwiusz. Nawet powódź trochę się go boi. . . .

Im mokrzej—tym bardziej nam wesoło. Po raz trzeci wylewasz wodę z butów, i po raz siedemnasty śpiewasz nieśmiertelną śpiewkę, hymn karabiniarskiej wiary: "nie masz bracie, jaaak w kaeemach."

Spojrzyj na obóz. Widok jest groźny i piękny zarazem. Nasza obozowa sąsiadka, rezerwat pstrągowy, rzeka górska rozlała się, ile tylko jej dusza zapragnęła. A ponieważ—przed przenosinami, po przenosinach, wśród przenosin— deszcz niezmiennie siąpił i siąpił, więc woda wzbierała. Nawet dotąd nieruszony ów czwarty pluton uległ jej atakowi. Przewidujące "zające" rozpoczęły też przenosić swe rejony zakwaterowania w górniejsze sfery. Już nie na "Olimp," a nawet w dal, poza "Olimp." Bliżej zamku. Zmyślni bardzo! Zaś "dojedzeniowcy" na tak zwaną baranią łąkę, bliżej szosy. Miejsce dogodniejsze. Sprytniaki. W taki to sposób— na wyżyny uciekli przed powodzią nowokreowani Robinsonowie wodni.

Niezależnie od osobistych przeprowadzek, trzeba było użyczyć swoich sił i wodzom. Tym bardziej, że "Baczuł" słodko sobie śnił, a tu mu pstrągi pod łóżkiem urządziły zabawę ludową. Szef, "matka kompanii" każdorazowo brzemienna w przepustki—nałożywszy gumowe buty, posiłkowany częstotliwie staropolskim słowem na "p"—mówił, że ma czas. Omal mu radia pstrągi nie zjadły.

Na tym zwlekaniu dość istotnie stracił zacny obserwator Witoldem chrzczony, którego twarde łoże żołnierskie, dostało się w nagrodę za dzielność komendantowi Wickowi.

Obserwator Witold, i inni—nic na tym nie stracili, gdyż w nieoczekiwanym finale powodzi jeszcze tego samego dnia zbiorowo wleźli pod dach koszarowy, oczekując dalszych rozkazów i służb.

Wawrzyniec Czereśniewski

GÓRALSKIE SUMIENIE

Psiekrwie przyśli
jak te zbóje,
poplątali myśli!
W cłeka nie wiem co wmówili,
i to go morduje,
bo sie cuje
jak matki krwiopijca.
Powiedzieli,
zem swej Matki
nie syn rodzony
ale zem jest przez tych lachów
z kołyski skradziony.
Powiedzieli,
ze mi dadza
to com w gorzci trzymoł,
ino zebym sie Polokiem
wiecy nie nazywoł.
Rozłupali nos na dwoje
jak pośladek świński
i myślały juz rzeźniki
ze zrobili swoje.
Ej, nie zawse
tak bedzie jak zboju twoja wola!
Bo i djoboł
choć jest djoboł
nie wyonacy górola.

Józek spod Wydartej

Wiersz niniejszy, który wyszedł z pod pióra żołnierza-górala stanowi odpowiedź na niemieckie absurdalne próby tworzenia "niepodległej góralszczyzny," dowodzenia, iż Podhalanie są osobnym narodem.

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

Prasa polska ze Stanów od połowy października, weszła pod znak wyborów Prezydenta. Roosevelt czy Willkie?—pytanie, które w chwili obecnej jest już rostrzygnięte na korzyść Roosevelta, stawało przed każdym Amerykaninem, a także przed każdym dziennikiem polskim w Stanach i przed każdym Polakiem obywatelem amerykańskim. Ogromna większość naszej prasy i naszych rodaków amerykańskich bez wahania odpowiedziała na to pytanie—Roosevelt! Willkie wzbudzał podświadome obawy. Mimo jego zapewnień, iż pragnie pomóc Anglii i oświadczeń przeciw dyktatorom, Polacy amerykańscy nie dowierzali mu. Tylko nieliczny odłam społeczeństwa polskiego, oddawna należący do stronnictwa republikańskiego, agitował za Willkiem.

Masa orientowała się na Roosevelta. Wyczuwała to doskonale codzienna prasa polska, idąca zawsze z prądem opinii. Toteż, jeżeli by sądzić z dzienników polskich, które nas obecnie dochodzą, fakt wybrania Roosevelta, zdawał się być niewątpliwy w ich mniemaniu już około 15 sierpnia. Niemniej pisma agitowały za nim z całym wielkim wysiłkiem, dbając przede wszystkim o to, aby *żadnego* Polaka nie zabrakło przy urnie. Nie będzie przeto przesadą twierdzenie, że Polacy amerykańscy z ich paroma milionami głosów, odegrali w tej walce, być może dla losów świata donioślejszej, niż walki orężne równocześnie rozgrywające się w Europie—rolę decydującego języczka u wagi.

"PARADA PUŁAWSKIEGO"

W niedzielę 6-go października Nowy York był widownią wielkiej manifestacji Polonii amerykańskiej. Manifestacją tą była "parada" przed polskimi władzami organizacyjnymi i gośćmi amerykańskimi, ku uczczeniu pamięci 161 rocznicy śmierci Generała Kazimierza Puławskiego, bohatera Rewolucji amerykańskiej. Parada w tym roku miała szersze znaczenie, niż doroczne święto pamięci Pana Kazimierza. Chodziło o pokazanie istnienia Polski przed Ameryką, o wykazanie tężyzny i znaczenia elementu polskiego w Stanach. Toteż organizatorzy dokładali wszelkich starań, aby parada wypadła jak najwspanialej i aby w niej wzięła udział jak największa część Polaków nowojorskich.

Usiłowania ich osiągnęły pełny wynik i manifestacja dała w istocie wyraz patriotyzmu mas polskich i ich przywiązania do Narodu. Zarazem była imponującym pokazem liczebności i znaczenia elementu polskiego w tej gospodarczej stolicy Stanów, jaką jest Nowy York.

Przeszło 75.000 głów było w tym pochodzie, któremu towarzyszyło z trybun i chodników ponad milion oczu. Defilada odbywała się wzdłuż 5 Avenue. Przed Gubernatorem Stanu, władzami miejskimi, oraz władzami organizacji polskich przeciągnęło ponad czterdzieści orkiestr i kilkaset sztandarów amerykańskich i polskich. Defilujący, jak pisał w niedzielę przed pochodem nowojorski "Nowy Świat": "reprezentowali Polskę umęczoną i Polskę, która zmartwychwstanie, a zarazem miłość Polonii do nowej Ojczyzny, Stanów Zjednoczonych."

Manifestacja, jeżeli sądzić ze sprawozdań prasowych zrobiła naprawdę ogromne wrażenie. Pisze o tym interesująco "Nowy Świat": "Zlały się odgłosy kroków w jedno tętno, które głośniej, niż muzyka wołało w niebiosy: "Niech żyją Stany Zjednoczone"—"Jeszcze Polska nie zginęła," a chorągwie polskie i amerykańskie w rękach rodziców i dzieci mieszały te głosy serc w jeden chór potężny. Parada Puławskiego była wielkim sukcesem!"

JAK POLSKI OFICER-PILOT WYRWAŁ SIĘ Z OBJĘĆ ŚMIERCI

Tak się jakoś dzieje, iż wiele wiadomości o czynach wojennych naszych lotników w Anglii, dochodzi do nas za pośrednictwem prasy amerykańskiej. Trudno to wytłomaczyć jedynie cenzurą, bo przecież cenzura obejmuje również wiadomości wychodzące z Anglii za granicę. A przecież my wszyscy, czy tu "na froncie" w Londynie, czy gdzie indziej, wszędzie, gdzie żołnierz polski się znajduje, pragnęlibyśmy jak najprędzej dzielić się sukcesami naszych pilotów, być myślami przy nich w bohaterskich zmaganiach z niebezpieczeństwem.

Pisma amerykańskie podają, jako specjalny telegram National Service Press, opis tragicznej katastrofy bombowca RAF nad wodami kanału La Manche. Podajemy ten niezwykle przejmujący opis w całości:

"Oto jedna z najbardziej zdumiewających kart w kronice przygód lotników RAF, według relacji polskiego oficera-pilota, jedynego członka załogi bombowca, który ocalał w katastrofie, kiedy samolot ten, wracając z nalotu na Niemcy spadł na wody La Manche.

Lecieliśmy na wysokości 6000 stóp, gdy nagle znaleźliśmy się w zasięgu burzy piorunowej Wzbiliśmy się, aby się wyrwać na 9000 stóp.

Uruchomiliśmy przyrządy do odladzania. Widzieliśmy już gwiazdy nad sobą i byliśmy pewni, że niebezpieczeństwo minęło. Nagle rozległ się nad nami przeraźliwy trzask gromu. Straciliśmy na kilka chwil panowanie nad aparatem. Zaczął on szybko pokrywać się lodem i spadać w dół z szybkością 2000 stóp na minutę, choć ze śmigłem skierowanym w górę. Przez pokrytą lodem szybę nie widzieliśmy nic. Lecieliśmy na oślep. Strzelec pokładowy telefonował, że maszyna się pali, ale nie zwracaliśmy na to uwagi.

Lecieliśmy dalej do chwili, w której ujrzeliśmy blaski reflektorów. Widzieliśmy teraz, że zbliżamy się do brzegów Anglii, ale w tej chwili drugi silnik odmówił posłuszeństwa. Kapitan postanowił byśmy lecieli dalej do wybrzeża, a znalazłszy się nad nim wyskoczyli. W pewnej chwili zapytał strzelca pokładowego, jak mu się zdaje, czy już lecimy nad lądem. Strzelec i nawigator powiedział, że tak, choć wciąż jeszcze lecieliśmy na oślep. Kapitan kazał wówczas całej załodze opuścić samolot.

Trzej sierżanci wyskoczyli przez środkowy "hatch," a przedni strzelec przez drzwiczki frontowe. Kapitan i ja lecieliśmy dalej, zniżając się z każdą chwilą. Szyba odmarzła i zobaczyłem błyski reflektorów w odległości 5 do 10 mil. Teraz kapitan kazał i mnie wyskoczyć. Pożegnaliśmy się i życzyliśmy sobie szczęścia. Zawołałem jeszcze: "weź się na prawo" przed skokiem. Spadochron otworzył się. Spadając w dół, widziałem światła reflektorów w odległości 7 mil. Zrozumiałem, że spadam do morza i że sierżanci wyskoczyli z samolotu na swą zgubę.

Jeden z reflektorów zatrzymał się na mnie przez moment. Krzyknąłem dwa razy, licząc na to, że reflektor może być zaopatrzony w czuły przyrząd do chwytania dźwięków. Skierowałem następnie swą pochodnię w dół, by dać sygnał. Spadłem na wodę i przypuszczalnie zanurzyłem się w niej głęboko. Wyrwało mię jednak natychmiast ze straszliwą szybkością. To spadochron, w szalonym pędzie ciągnął mnie za sobą. Ślizgałem się po falach i myśląc, że wichura niesie mnie z powrotem, uwolniłem się ze spadochronu. Potem zzułem buty i zacząłem płynąć. Ale po chwili reflektory zgasły. Kierowałem się więc według gwiazdy Polarnej, ku brzegowi na prawo. Kurtka "Mae West" bardzo mi się przydała. Płynąłem z godzinę. Reflektory znowu zabłysły, teraz więc skierowałem się już na nie.

Dwukrotnie żegnałem się już z życiem, ale coś mi kazało walczyć dalej. Jednak nie miałem wrażenia, abym zbliżał się do reflektorów, i po chwili złapał mnie kurcz. Kilkakrotnie mnie zemdliło.

Po chwili zaczęło świtać. Przekonałem się że od wybrzeża dzielą mnie trzy czwarte mili. Zdwoiłem wysiłki i zacząłem wołać o pomoc. Wkońcu nadbiegło kilku żołnierzy z "pill-box" i wydobyło mnie z wody. Słyszałem jak jeden pytał: "Czy to Niemiec"—Mogłem zaprzeczyć tylko ruchem głowy. Żołnierze byli bardzo dobrzy dla mnie. Ze smutkiem stwierdzam, że 5 moich towarzyszy utonęło."

Ta prosta, ale jakże przejmująca opowieść maluje najlepiej, zarówno nam, jak i naszym braciom z Ameryki—wysiłki polskich lotników w walce o Ojczyznę.

Jerzy Pomian

Sztychem

SUGESTYJKA

Jeszcze jedna, jeszcze nowa
sugestyjka pokojowa
wprost z Berlina do New-Yorku.
mknie, jak miły kotek w worku.

Gdy ją przyjmą, moi złoci,
to ten worek się okoci
(jak się domyślacie sami)
mniej, niż w rok—Messer-schmidtami.

"TIMEO DANAOS..."

"Zginęli Grecy, zginęli Rzymianie"—
tak się pisało w albumie . . .
—Co z owej, prawdy dzisiaj pozostanie?—
pytają ludzie w zadumie.

Hm! Grekom jakoś ginąć się nie śpieszy,
a w skórę biorą Latyni,
i "Timeo Danaos" * jęczy w depeszy
do druhów swych Mussolini.

Antyk

* Boję się Danaów (Greków).

Przegląd polityczny

Należy przede wszystkim stwierdzić bardzo duży sukces naszej sprawy w Ameryce, głównie ze względu na samą osobę prezydenta Roosevelta.

— *Roosevelt* — mówił jeden z dziennikarzy amerykańskich— *to taki amerykański Churchill.*

Dobre porównanie. Prezydent Stanów podobnie jak obecny premier w Brytanii, uosabiał zdrowy rozum anglo-saski, zdający sobie sprawę z faktu, że dla Anglii, dla Ameryki, dla ogólno-światowej demokracji *niebezpieczeństwem nr. 1 są Niemcy.* Mówił o tym i przestrzegał na długo przed wojną. Narażał się z tego powodu i pół-jawnym totalistom wszystkich krajów i wszystkich odcieni. Był przez nich znienawidzony, jako wcielenie siły, która moża złamać wszelkie pomysły zwyrodniałego nacjonalizmu, stojącego niemal wszędzie na usługach nazistowskich.. Pamiętamy wszyscy te niesłychanie gwałtowne ataki, które na Roosevelta miotała prasa niemiecka i rozmaite piąte kolumny we Francji, Belgii, Holandii a nawet w Polsce.

Gdy wojna wybuchła, Roosevelt stał się uosobieniem czynnej pomocy, okazywanej Anglii przez Stany Zjednoczone. Jego zasługą jest to jasno postawione, niemal bojowe stanowisko Ameryki wobec europejskich totalizmów w ogóle, a Niemiec w szczególności. A wybór Rooswelta *po raz trzeci*, jest najlepszym dowodem, że jego linia polityczna znajduje nie tylko zrozumienie, ale i bardzo silne poparcie w opinii Stanów Zjednoczonych.

W sprawach zagranicznych nie było różnic między Roosveltem a Willkiem. Podkreślając ten fakt, jako dla nas wysoce korzystny, należy zaznaczyć, że wybór Roosvelta jest ważny z tego powodu, iż w bardzo ciężkim okresie *zapewnia ciągłość linii polityki amerykańskiej, tak wewnętrznej jak i zagranicznej.* Nie będzie w ciągu tych kilku miesięcy "bezkrólewia," związanego z przekazywaniem władzy. W czasach, kiedy każdy tydzień przynosi wydarzenia, decydujące o losach narodów—ważne decyzje może powziąć Roosevelt natychmiast po swym wyborze.

Pójdą one po linii dalszych zbrojeń, i dalszej pomocy Ameryki dla Anglii. Wiedzą o tym państwa totalne i dlatego wybór Roosevelta powitano zarówno w Niemczech, jak i we Włoszech, tudzież Japonii—z ogromną niechęcią. Prasa japońska pisze wprost, że "znikły wszelkie nadzieje na pokojową organizację stosunków między Stanami a Japonią." Co raz bardziej utrwala się wrażenie, któremu w "Polsce Walczącej" dał wyraz Cz. Poznański, że *Niemcom chodzi o sprowokowanie wojny japońsko-amerykańskiej, aby w ten sposób przesunąć punkt ciężkości zagadnień amerykańskich z Oceanu Atlantyckiego na Pacyfik.*

W Berlinie i Rzymie pisano o wyborach amerykańskich bardzo mało—natomiast cała uwaga prasy "osi" skupia się na Bałkanach. Wojna z Grecją idzie jak po grudzie, toteż co raz częściej mówi się "o ostatecznym uporządkowaniu stosunków na półwyspie bałkańskim." *Oznacza to ni mniej ni więcej, tylko rozbiór Jugosławii, w którym Dalmacja miałaby przypaść Włochom, Kraina Niemcom, z Chorwacji i Slawonii powstałoby coś w rodzaju Słowaczyzny—a wielkie, południowo - słowiańskie państwo zredukowałoby się do granic Serbii z przed roku 1914—to jest z okresu przed pierwszą wojną bałkańską.* Jeszcze raz bieg wypadków potwierdza tę prawdę, którą jasno widzieli prawdziwi politycy na długo przed rokiem 1939: *państwa środkowej Europy skazane są albo na najściślejszą współpracę, konfederację, federację, lub unię—albo też na nieodwołalną zagładę.*

Turcja zbroi się w dalszym ciągu, lecz do wojny nie przystępuje. Najprawdopodobniej ma się tu do czynienia z pewnymi naciskami ze strony Rosji. Sytuacja Stalina jest ciężka: z jednej strony zdaje on sobie sprawę, iż dokonuje się w jego oczach na ogromną skalę okrążanie Rosji, która traci wszystkie wpływy na Bałkanach i jest wypierana systematycznie z tej części Europy. Z drugiej jednak strony na Kremlu wiedzą bardzo dobrze, że Sowiety są słabym tworem państwowym, któremu trudno byłoby dzisiaj mierzyć się z całą olbrzymią potęgą kontynentalną włosko-niemiecką. *Dlatego Mołotow gra na zwłokę—i tu zdaje się, jest główny powód jego wizyt berlińskich.*

Nie jest jednak wykluczone, że Niemcy, które dzisiaj tolerują "sprzymierzeńca" bolszewickiego uderzą jutro na Rosję, *stosując zasadę wojny prewencyjnej.* W każdym razie trzeba się liczyć z bardzo poważnymi wypadkami we Wschodniej Europie, jeżeli nie w najbliższym czasie, to w każdym razie na wiosnę 1941. *Rosja, według "Mein Kampf," skazana jest przez Hitlera na zagładę—i wcześniej czy później plan ten zostanie urzeczywistniony.* Polityka rosyjska popełniła w sierpniu 1939 roku błąd stwarzając Niemcom idealną okazję do wojny. Błąd ten pomści się w straszny sposób i nie zapobiegnie temu pomoc, którą Mołotow okazuje Hitlerowi w likwidowaniu niepodległych państw środkowo-europejskich. Prezydent Sowietów, Kalinin, w ostatnim swym przemówieniu, zwracał uwagę, że "*Rosja powiększyła ilość swych mieszkańców o 23 miliony, unikając, dzięki swej wspaniałej polityce, wciągnięcia Sowietów w zbrojny konflikt europejski.*" Mowa ta do złudzenia przypomina reklamę naszego nieszczęsnego Becka po aferze monachijskiej i podziale Czechosłowacji.

Z pamiętników Juliusza Cezara wiemy, że starożytna Gallia była podzielona na trzy części. Podobnie jest z najbardziej nowożytną Francją. Dzieli się ona na okupowaną przez Niemcy, nieokupowaną ale rządzoną przez Berlin—i wreszcie wolną Francję, walczącą w dalszym ciągu pod wodzą de Gaulle'a. Otóż ta wolna Francja ma do zanotowania poważne sukcesy, które de Gaulle odnosi w Afryce Zachodniej. Jest to rehabilitacja za Dakar, którego niezajęcie było spowodowane ordynarną zdradą ze strony podległych rządowi w Vichy admirałów i generałów. Lud i wojsko jest po stronie de Gaulle'a—i nadzieje łączące się z tym faktem są olbrzymiej miary.

tk

DN. 8 LISTOPADA ZOSTAŁA OTWARTA

KSIĘGARNIA

firmy M. I. KOLIN (PUBLISHERS)

Londyn, W.C.1, 20, Bloomsbury Street,

róg Great Russell Street

Na składzie książki i czasopisma polskie oraz wydawnictwa angielskie o Polsce

Księgarnia otwarta bez przerwy w godz. 9.30 rano—5 pp.

OD WYDAWNICTWA.

Celem uniknięcia niepotrzebnej zwłoki w załatwianiu korespondencji uprzejmie prosimy naszych Czytelników i Klijentów wydawnictwa o kierowanie listów w sprawach prenumeraty, zmiany adresu, wysyłki pisma, płatnych ogłoszeń i t.p. nie do redakcji, lecz do administracji z wyraźnym zaznaczeniem tego na kopercie.

PP. Władysław Kulesza i Tadeusz Rożniatowski są proszeni o podanie adresów redakcji "Polski Walczącej," która pragnie przekazać im listy nadesłane z Ameryki z prośbą o doręczenie.

P. Jakub Kroll zechce zakomunikować swój adres redakcji.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel.,HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przymuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel. HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel. MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press, Portugal St., Strand, W.C.2.